

Rozdział 3

„Żołnierze! Nadchodzi wiekopomny dzień. Zapewne każdy z was słyszał na lekcjach historii o tym, że dwa tysiące lat temu, nasz miłujący władca, oraz jego równe dobrotliwy brat, wraz z waszymi przodkami, zostali wypędzeni z ich rodzinnych ziem. Wypędzeni, przez dziwną rasę, podobną do naszych koni. Niedawno otrzymaliśmy powiadomienie, że nasz długowieczny Cesarz, znalazł przedstawiciela tego właśnie gatunku. A to oznacza jedno. Dzień pomsty już blisko. Przygotowania zostały rozpoczęte. Mniej więcej za miesiąc, tworzona właśnie armia wyruszy na podbój. Na jej czele stanie rodzina Cesarska, wraz z naszym miłościwym władcą. Wyprawa będzie najłatwiejszą w waszym życiu. Gdy wróg zobaczy dumne wojsko Imperium, ucieknie, trując przy tym swoich towarzyszy. Oni dostaną ból i pożogę, a wy dumę i bogactwo. Niestety, mimo waszych ambicji, armia będzie mieć zaledwie półtora tysiąca dusz. Musicie to zrozumieć. Ci którzy zostaną, chronić będą naszych domów i rodzin. A więc szykujcie się. Duchy przodków na was patrzą. KU CHWALE IMPERIUM CZŁOWIEKA!!!”

Zwierzchnik Sił Zbrojnych, Marszałek August.

- treść przemowy czytanej przez kapitanów, wydany dzień po odnalezieniu Twilight.

„Żołnierze! Minęły dwa dni, od kiedy wierność i odwaga waszych towarzyszy została poddana próbie. Jasnym jest, że wypełnili swoje zadanie doskonale. Mimo tego, nie tylko ich hardość pozwoliła obronić „Stolicę”. Gość naszego nieśmiertelnego władcy, Twilight Sparkle i jej zdolności magiczne, zdziśiátkowały naszych wrogów. To zaszczyt, mając ją za sojusznika. Jednakże, do rodzin które straciło swych członków, kierujemy nasze kondolencje. Ale głupotą jest oplakiwać bohaterów. Powinniśmy dziękować Sigmarowi, że tacy ludzie żyli. Więc nie czas na żalobę. Jest również wieść, która winna was radować. Mistrzowie Kolegiów, przygotowali portal, który przeniesie nową bohaterkę do jej świata. Oznacza to również, że już niedługo, mieszkańcy Equestrii poczną zemstę. Zemstę potomków tych, których sami wygnali. Informację które przekazał mi władca, jednoznacznie dowodzą że zwycięstwo będzie jeszcze łatwiejsze. Do tego, Księżę Ostermarku i Księżę Stirlandu, poprowadzą dodatkowe trzy tysiące dusz. Mam nadzieję, że wasz zapal nie znikł. Ładujcie muszkiety, ostrzcie miecze i szable. Nakarmcie konie, podkujcie je i niech Sigmar ma nad wami opiekę. Nasze uderzenie będzie niszczące, niczym szarża Legionu Orła. CHWAŁA IMPERIUM!!!

Zwierzchnik Sił Zbrojnych, Marszałek August.

- treść przemowy czytanej przez kapitanów, wydany w trakcie odbudowy murów.

„Drodzy!!! Dziękuję za wasze przybycie. Oto stoimy na skraju przeszłości i przyszłości. Duchy waszych dziadów, czuwają nad wami i kierować będą waszymi poczynaniami. Nie obiecuję wam łatwego zwycięstwa. Ale w pełni przewiduje, iż będzie ono szybkie. W waszych głowach, pojawiają się zapewne wizje pola martwych, lub uciekających wrogów. Dumne, Imperialne sztandary, niesione przez was ponad takim właśnie polem. Niedobitki, gonione przez rajtarów i kłęby dymu, unoszące się z muszkietów i armat, które są potwierdzeniem śmierci pędzących na zatracenie wrogów. Ale niech was nie zmylą pozory. Wróg z którym przyjdzie się nam zmierzyć, jest sprytny, nieugięty i pewny siebie. Nie róbcie sobie fałszywych nadziei. Nie celem naszym jest wymordowanie mieszkańców. Celem jest dotarcie do naszej dawnej ojczyzny. Do potyczki dojdzie, ale nie za moją inicjatywą. Miejcie świadomość, iż do walki będę zmierzał tylko w ostateczności. Ale spokojnie. Ona na was czeka. Nie będzie ona jednak łatwa. Zanim zaczniemy, ostatnia rzecz. Twilight Sparkle, ta która przyczyniła się do ocalenia „Stolicy”, jest całkowicie nietykalna. I tak okazujemy naszą bezczelność, atakując jej dom, po tym co zrobiła. Mimo to, ta gra toczy się o naszą przyszłość. Wszystkich tu zgromadzonych. Każdego człowieka. Mężczyzny, kobiety, dziecka i starca. Każdy który przyczyni się do odzyskania naszych ziem, może liczyć na wdzięczność i miejsce w kronice. Pamiętajcie by oddać honory tym, którzy zginą i niech ich będzie ich jak najmniej. A więc dobrze przyjaciele. Nadszedł czas próby.

- przemowa Cesarza Artura I, tuż przed wyruszeniem do Equestrii. Spisana przez nadwornego skrybę.

Te, oraz inne przemowy, były dowodem na to, że Imperialni dowódcy umieli zmotywować swoich ludzi. Oczywiście każdy kapitan dopisywał co nieco, aby dopasować tekst do oczekiwań jego podkomendnych. Przez to właśnie, najświeższe nabytki wojska, rwały się do walki. Wieść o wyprawie do nowego świata i obietnice nagród, czy łatwych zwycięstw, jeszcze bardziej pobudzała ich wyobraźnię. Cesarz świetnie przedstawił wizje swoich żołnierzy. Można by rzec, że wszedł im do głów. Mimo iż starał się rozwiać ich fałszywe nadzieję, to one i tak wracały. Choć nie do wszystkich. Wśród jego wojsk, było dużo ludzi z dosyć biednych rodzin, którym chodziło tylko o zdobycie pieniędzy, by w choć małym stopniu, pomóc bliskim. Niestety było również wielu najemników, których jedynym celem było napchanie swoich kieszeni, bez względu na wszystko. No i oczywiście zwykli awanturnicy, chętni bić się z kimś nowym. Można by było wywnioskować, że żołnierze Imperium to niewyćwiczone, rozwydrzone, zmotywowane przez propagandę, bandy hołoty. Jest to jednak bardziej skomplikowane. Warunki przyjęcia, rzeczywiście nie były tak restrykcyjne jak te, które były np. w Straży Celestii. Jednak każdy kto wstępował do szeregów armii Imperium, przechodził serię treningów, które miały go sprawdzić, w czym będzie dobry. Każdy, silny, mądry, słaby, głupi, mógł znaleźć zastosowanie. Przykładowo, jasnym jest, że mądrzejsi, ale słabsi do walki bezpośredniej się nie przydadzą. Byli wtedy przydzielani do obsługi machin wojennych. Także ci młodzi z bujną wyobraźnią, musieli przejść testy dyscypliny. Chociaż mówi się, że przechodzili je szybciej, niżli ich koledzy

realiści. Jeżeli ktoś w ogóle chciał dołączyć do armii, musiał jedynie podpisać kilka papierów. Na starcie, dostawał zaliczkę. Dość pokaźną. Do tego, po wygranej potyczce, dowódca każdego oddziału, rozdzielał łupy patrząc na wykazanie się w walce. Dzięki takiej drodze, pracownicy urzędów werbunkowych nie mieli co narzekać na nudę. Jedynym odstępstwem, były zakony rycerskie. Wiadomo, żeby do nich przystąpić, trzeba było należeć do znakomitego rodu. Co nie oznacza, że zakonnicy się obijali. Co to to niej. Należeli do elity, jeśli chodzi o umiejętności. A więc armia, składała się wytrenowanych, pełnych nadziei ludzi, którzy walczyli w imię idei. Idei by ich rodziny były bezpieczne i że oni sami mogą stać się bohaterami. Że mogą coś zrobić dla tych, którzy kiedyś oddali życie za to, by ich potomkowie byli bezpieczni. Co do najemników...ci byli wykupywani przez oficerów. Propaganda, motywowała ich jeszcze bardziej. Aczk nie celem było wypranie im mózgów. Wracając...Gdy wojska dotarły do nowego świata, ich zapal nie zmalał ani trochę. Zazdroszczono głównie zwiadowcą, którzy to mieli szczęście zobaczyć ich przyszłych przeciwników. Wieści o przygotowaniach tubylców, podsycaly chęć walki. A gdy tylko dowiedzieli się, że po niespełna dwóch dniach siedzenia w obozie mają wyruszyć, ledwo mogli powstrzymać radość. Chcieli być w trasie jak najszybciej. O siódmej rano, każdy miał być na nogach. I owszem. Każdy na nogach był. Tyle tylko że w stanie spoczynku, nie byli od piątej. Dumni, niemogący się doczekać, oczekiwali kiedy ich zapal zostanie uwolniony. A miało to się stać już niedługo.

- Ich entuzjizm nigdy nie przestanie mnie zaskakiwać. - powiedział Aleksander do Konrada, patrząc na formujące się grupy. Stali wśród kręcących się wojaków.

- Zamknij się. - rzucił szybko kuzyn, przecierając oczy.

- Co? Niewyspany? - zapytał ironicznie.

- A jak sądzisz? Gdyby nie to, że będę podróżować konno, to raczej nie mógłbym jechać w ogóle - wyjaśnił szybko Konrad. - Dlaczego do ciężkiej murwy, musiałem z nimi pić - zamarudził - Ej! A tam co się świeci? - kiwnął głową w miejsce, gdzie żołnierze zbierali się jak ćmy do światła.

- Nie wiem. Ale możemy się dowiedzieć - zaproponował Aleksander.

Konrad pokiwał sprzecznie głową. Syn cesarza wzruszył ramionami i zaczął iść do miejsca, gdzie żołdacy stali bez ładu. Każdy z nich, a również oficerowie, ustępowali i stawali na baczność. A jako iż była to dosyć duża połać terenu, było to dosyć częste. Przechodząc, patrzył z dumą na trenujących, czy maszerujących w szyku, z dźwiękiem bębnów. Z twarzy i oczu, mógł wyczytać spory zapal, chyba pierwszy raz tak duży. Trochę to również napawało obawą.

Powoli podchodząc do zbiorowiska, żołnierze odsunęli się, aby ich przyszły władca mógł przejść. Gdy tylko to zrobił, jego oczom ukazały się cztery, potężne czołgi parowe. A ich majestat był niesamowity. Nie licząc Legionu Orła, należały do dumy wojsk wolnych ludzi. Konstrukcja tych wspaniałych maszyn, mogła przypominać lokomotywę. Różnica

polegała na tym, że czołg napędzany był przez zaledwie cztery koła, zasilane za pomocą bojlera przesuwającego parę pod ciśnieniem przez rury i tłoki. Przód natomiast, okuty żelazem, z którego wystawało działo. Na górze wieżyczka, z której wystawała lufa karabinu parowego.

- Arcyksięże! - zakrzyknął jeden z inżynierów, podchodząc do Aleksandra. Starszawy, z białą brodą, w prostym, ubrudzonym ubraniu - Jak podobają się nowe maszyny?

- No...Świetnie. - stwierdził z niepewnością Aleksander. - Kto odpowiada za sprowadzenie ich tutaj?

- Twój szlachetny ojciec. - odpowiedział z lekkim zdziwieniem inżynier. - Przybyły tej nocy.

- Wszystko się zgadza. - rozległ się głos Jana.

Podchodził szybkim krokiem do inżyniera. Żołnierze momentalnie zaczęli wracać do jednostek.

- Na każdą armię przypada jeden. - wyjaśnił brat Cesarza.

- Że niby jak? Jedna zostanie bez...

- Myślisz że powierzyłbym to Księciu Ostermarku? - przerwał mu - Nie wątpię w jego wierność, ale nie wątpię też w jego intencje.

- Masz rację wuju. - przytaknął Aleksander.

- Chodź. Musimy jeszcze ustalić szczegóły. - oznajmił.

Razem równym krokiem zaczęli iść pomiędzy formującymi się armiami, gotowymi do wymarszu.

- Słyszałem że mieliście gości. - zaczął Jan.

- A no. Było trochę bólu, ale już po kłopotcie. - oznajmił bratanek. - Ojciec przydzielił go swojej jednostki.

- Ufasz mu? - spytał wuj. - Temu nowemu?

- Nie wydaje się żeby miał złe intencje.

Zatrzymali się i odsunęli, gdy przejeżdżały stalowe potwory. Towarzyszyły im dźwięki potężnie gotującej się wody.

- A właściwie, to po co nam czołgi parowe? - spytał z zaciekawieniem Aleksander.

- Zaczynamy stosować wojnę psychologiczną. - oznajmił Jan. - Gdy zobaczą nasze cuda techniki, puciekają i do otwartej walki nie dojdzie. Ostatecznie, działa raz strzelą i...już.

Gdy maszyny przejechały, zaczęli iść dalej w milczeniu. Po ich bokach ruch trwał bez przerwy. Wszyscy kierowali się w tą samą stronę, co ich dowódcy. Do szykujących się do wymarszu formacji. Widok, jaki się malował, był piękny. Stojący walczący, w równych odległościach. Niebo czyste, a promienie słońca odbijały się od stalowych zbroi, lub rozświeślało żupany lub płaszcze. Włócznicy, halabardnicy i strzelcy tworzyli istny łań muszkietów, pik i ostrzy. Artysta, który chciałby namalować ten pejzaż, miałby problemy, gdyż kompozycja lekko się psuła, przez czwórkę ludzi stojących nad stołem, tuż za widocznikiem. Do tych właśnie ludzi, kierowali się Aleksander z Janem.

- Wybaczcie za spóźnienie. - rzucił Car.

- Skoro jesteśmy już wszyscy, możemy powtórzyć plan. - wyjaśnił spokojnie Cesarz.

Wszyscy popatrzyli na mapę leżącą na stole. Na niej, położone było kilka figur szachowych.

Cesarz podniósł wieżę i powiedział:

- Tysiąc pięciuset ludzi zostanie w obozie, wraz z Księciem Stirlandu. Zadbacie o nasze zaplecze. - po tych słowach, położył figurkę w miejscu gdzie znajdował się obóz.

- Będzie jak karzesz. - potwierdził z uniżeniem Książę.

- Reszta was, wyruszamy na północ. - kontynuował - Nie będziemy podróżować razem. Na każdego z nas przypada około sześciuset ludzi. Konrad i Aleksander.

Na te słowa, młodzi zaczęli słuchać z większą uwagą.

- Będziecie ubezpieczać flanki. Konrad, zabierzesz jazdę lekką, w tym swoich rajtarów i kozaków. Będziecie jechać po stronie zachodniej - umieścił czarnego konia na mapie - A ty synu, dowodzisz konnicą ciężką, w tym Templariuszami i jedziecie po stronie wschodniej - ułożył białego konia.

Oboje przytaknęli.

- Bracie, tobie przypadnie dowództwo nad większością artyleria, ale i również nad swymi piechurami. Będziecie się poruszać tuż obok konnicy Konrada. - oznajmił Cesarz, stawiając białą królową, prawie na krańcu.

- Zgodnie z twoją wolą. - potwierdził brat, uśmiechając się.

- Natomiast wy, Książę Ostermarku, otrzymacie oddziału ze swojej domeny. Poruszacie się tuż obok rycerstwa Aleksandra. - powiedział powoli Artur, kładąc gońca.

Książę kiwnął głową.

- Ja i specjalnie dobrane oddziały, poruszamy się po środku. Odległość pomiędzy każdą z naszych armii, ma wynosić najwyżej kilka kilometrów. - nakazał, kładąc króla w środku - Naszym celem są góry. Bariera, przed dosyć ciężkim oblężeniem.

- Wszystko jasne panie, ale jak mamy się porozumiewać na takich odległościach? - zapytał słusznie Książę Ostermarku.

Gdy tylko to powiedział, na ramieniu Cesarz przysiadł orzeł.

- Każdy z was dostanie takiego towarzysza. Są szybsi, niżli nasze konie. - skomentował. - A. Jeszcze jedno.

Po tych słowach, na ziemię zleciały cztery gryfy. Dumne, majestatyczne. Każdy z osobna, posiadał różny kolor piór.

Jeden, czysta biel. Drugi, ciemny brąz. Następny w barwie czarnej. Ostatni, można by mieć złudzenie że zrobiony ze złota.

- A bałem się że zapomniałeś. - rzucił Konrad.

- O rodzinie? Nigdy. - odpowiedział Cesarz. - W każdej wyprawie towarzyszyły nam te cudowne stworzenia. I tu nie może być inaczej

Familia przywitała się ze skrzydlatymi wierzchowcami, sprawdzając czy ich na pewno pamiętają.

- Panowie, przygotować się do wymarszu - Zawiadomił Imperator.

Zgromadzeni uderzyli się pięściami w pierś i poszli w różne strony.

- Synu, poczekaj. - rzucił szybko Artur - Widziałeś się dzisiaj z Twilight albo..

- Nie. - przerwał mu - Od wczoraj jakoś ich nie dostrzegłem. Dzisiaj też nie. Pójdę ich poszukać.

- Ty się zajmij rozkazami - powstrzymał go - Ja to zrobię.

- To ty, rozumiem, nie musisz się zajmować, tak?

- Mam od tego was - odparł.

Rozeszli się.

Cesarz szybkim krokiem przechodził wzdłuż palisady. Łąka obok niego, wcześniej pełna ludzi, stała się pusta. Pusta, spokojna, zielona. Z przodu, pozostałości po drzewach. Po lewej, to co z tych drzew zostało wykonane. Naostrzone słupki, które mogą szybko spłonąć. Idąc, zauważył z przodu nadbiegającą postać. Był nim Flash. Pancerz, który przygotowali mu płatnerze, bardzo odbiegał od tych, które miała Gwardia Książęca. Także pod względem nazewnictwa. Głowę, ochraniał mu szyszak, z ruchomą osłoną karku, daszkiem na wysokości czoła, oraz, jak nazywali to fachowcy, nosalem, który chronił twarz. Górną część, klatki piersiowej, chronił obojczyk, do którego przymocowane były naramienniki, z których wychodziły czterowarstwowe opachy. Na zewnętrznej stronie kopyt, pewien odpowiednik karwaszy.

- Zastanawiałem się, gdzie żeś się podziewał - rzucił, gdy pegaz zbliżył się do niego.

- Wybacz. Trochę zajęło mi wyjście z tego obozu. - tłumaczył się.

- Dobra. Widziałeś się może dzisiaj z Twilight? - zapytał.

- Myślałem że... - zaczął.

- Czyli nie. - westchnął Artur. - Idź do mojego brata. On cię przydzieli do odpowiedniej jednostki.

- Może lepiej pójdę z tobą. - zaproponował - Nie orientuje się tu zbyt.

- Niech będzie. - przytaknął.

Po kilku chwilach drogi, Flash rzucił:

- Zapomniałem ci podziękować.

- Dziękować powinienś Twilight i Konradowi. - odpowiedział pewnie.

- Tak, ale to ty mi pozwoliłeś zostać. I w ogóle żyć. - stwierdził.

- Żyć? A dlaczego chciałbym cię zabić? - spytał z niedowierzaniem człowiek. - Możesz się nam jeszcze przydać.

Gdy to powiedział, byli już na krańcu palisady. W odległości kilku kroków od bramy głównej, dostrzegli siedzącą Twilight, patrzącą w stronę Ponyville. Nie czekając długo, obaj podeszli.

Gdy byli w odległości kilku centymetrów, rozległ się donośny huk, podobny do tego, który powstaje podczas podpalenia prochu.

- Co za diabeł?! - zakrzyknął Cesarz.

Z daleka, zaczął się unosić czarny dym. Gęsty, jakby źródłem stało się małe wieś. Od strony lasu, pędził jeden ze zwiadowców.

- Panie!!! - krzyknął, gdy zbliżył się do zgromadzonych.

Z obozu zaczęły wychodzić żołdacy, przyglądając się nowemu zjawiskowi

- Melduj, co na Młot Sigmara się wydarzyło?!

- Za pobliską wioską, jest duża farma. A raczej była starał się złapać oddech Tamtejsza stodoła i dom...Zniszczone.

- Rzesz! - zaklął Artur. - Wiadomo co spowodowało pożar?

- Widziałem wybuch. Wyglądało to na działania dużej ilości prochu. - odpowiedział - Tyle by starczyło na zdobycie twierdzy.

- Kto był na tyle głupi, by spowodować ten sabotaż! - krzyknął Cesarz w stronę podkomendnych.

Twilight patrzyła na dorobek jej przyjaciółki, nad którym pracowały cztery pokolenia. Przepadło. Lata starań, zniknęły w przeciągu kilku sekund.

Z jej oczu popłynął strumień łez.

- Przyprowadzić magazyniera! - krzyknął Cesarz do jednego z szermierzy, który natychmiast pobiegł do obozu.

Flash powoli objął Twilight. Ta popatrzyła na niego, jakby szukając odpowiedzi czy wyjaśnień.

Po chwili, do zgromadzonych podbiegł magazynier. Cesarz ze złością powiedział do niego:

- Sprawdzałeś rezerwy prochu? Nie wyniesiono żadnej, choćby beczułki?

- Przez całą noc pilnowałem zapasów. Nie możliwym było, by coś wykradziono. - zaczął się tłumaczyć.

- Więc powiedz mi, jak to jest możliwe? - zapytał z wyrzute, wskazując na kłęb dymu.

Magazynier milczał.

- Teraz wracaj do tego składu i jeżeli okaże się, że brakuje choć jednej torby...- zagroził.

W towarzystwie dwóch żołnierzy, magazynier wracał do obozu.

- Dobra panowie. Przekażcie Księżciu Stirlandu, żeby miał się na baczności i wracać na stanowiska. - rozkazał.

Od salutowali i odeszli.

Nie trzeba by bardzo znać się na ludziach, żeby wyczytać z twarzy władcy złość. Bo ta, nasilała się z każdą sekundą. Trudno się dziwić, skoro ktoś się mu sprzeciwił a także zmarnował zapasy.

Jednak chęć zamordowania nieposłusznego wojaka, znikła niczym ręką odjął, kiedy spojrzał na młodą alicorn. Mimo iż farma nie była jej domem, to wiedziała ile znaczy dla rodziny Apple. Jeszcze więcej, dla całego Ponyville. Także złość, przeobraziła się w poczucie winy ze współczuciem.

Otarła łzy i powiedziała:

- Wybaczcie. Ja...

- Spokojnie. - przerwał jej Flash.

- Arturze... - zaczęła powoli. - Mógłbyś nas zostawić?

- Oczywiście. - przytaknął - Będę czekał za obozem.

Powiedziawszy te słowa, Cesarz odszedł. Gdy zniknął z ich pola widzenia, Twilight zaczęła otwierać usta:

- Wszystko przeze mnie. - skarciła się. - Gdybym tylko tamtej nocy spała...
- To nieprawda. - przerwał jej Flash. - Sprawca z pewnością będzie ukarany i...
- Skąd możesz to wiedzieć? - przerwała mu. - Mogłam wtedy nie iść do lasu. Wtedy nigdy bym nie wiedziała o żadnym Imperium, o jego problemach i tym, że Celestia nie powiedziała mi nigdy o ludziach. Farma mojej przyjaciółki, nie byłaby zniszczona, Spike nie musiałby się obwiniać, a Rainbow nie zraniłaby sobie skrzydła.
- Ale gdybyś tamtej nocy nie przeszła, kto wie co stałoby się ze „Stolicą”. Żyłabyś w przekonaniu, że Celestia ma w pełni czyste sumienie. - uspokoił ją. Jak widać, już zdążył zaczerpnąć trochę informacji od innych.

Zapadła chwila ciszy.

Twilight otarła ostatnie łzy i westchnęła.

- Przepraszam. Nie chcę, żebyś...

- Rozumiem. - uspokoił ją - Jeżeli chcesz, możemy już iść.

Po niecałej minucie, Twilight stwierdziła:

- Dobrze że tu jesteś.

Flash uśmiechnął się do niej.

- Ale masz rację. Chodźmy. - rzuciła i oboje wstali.

Ostatni raz, spojrziała w stronę Ponyville. Oboje, zaczęli iść za obóz.

Szli w milczeniu. Flash chciał coś powiedzieć, ale widział że jego towarzyszka potrzebuje chwili. Gdy zbliżali się na tyły armii, zobaczyli Cesarza, Księcia Ostermarku i jednego z kapitanów.

- Nie mam w naturze rzucać oskarżeń, ale... - zaczął Artur.

- Panie. - przerwał mu Książę - Zgodzę się z tobą, w kwestii moich przekonań na temat tego co powinniśmy zrobić z tubylcami, ale nigdy nie działałbym samowolnie.

Wtedy właśnie podeszli do nich Flash i Twilight.

Gdy Książę ich spostrzegł, stwierdził:

- Gdyby nie twoja litość i to przywiązanie do tej...

- Sprawdzasz moją cierpliwość. - przerwał ze złością Artur - Jeżeli okaże się, że to twoja sprawa, osobiście cię zastrzelę.

Po chwili, Książę odszedł.

- Pod naszą nieobecność, twoim zadaniem jest przeprowadzenie śledztwa. Masz zezwolenie na użycie dowolnych środków - zwrócił się Cesarz do kapitana.

- Za przeproszeniem, czy to nie jest lekka przesada? - zakwestionował kapitan.

- To jest przejaw tego, że ktoś kwestionuje rozkaz. Przymknę na to oko, a takie przypadki będą zdarzać się coraz częściej. Muszę niektórym przypomnieć, że nie są już u siebie- wyjaśnił spokojnie.

- Zgodnie z twoją wolą - rzekł kapitan i odszedł w stronę obozu.

Artur zbliżył dłoń do głowy i przetarł czoło.

- Wszystko dobrze? - zapytał po chwili.

- Na pewno lepiej. Trochę - powiedział Twilight.

- Posłuchaj. Przykro mi z powodu tego co się stało. Ale mogę ci obiecać, że sprawca nie wyjdzie z tego cały - zapewnił.

Zapadł moment ciszy.

- Oto nadchodzi oczekiwana godzina. - stwierdził Cesarz, po czym zagwizdał głośno.

Po krótkim momencie, przybiegł do niego zakuty w zbroję, ciemny koń koń. Artur zatrzymał go, usiadł w siodle i chwycił za wodzę.

- Spotkamy się na przodzie. - rzekł i wraz ze swoim wierzchowcem, pomiędzy przerwami w szeregach, galopowali na przód.

- Gotowa? - zapytał Flash.

Twilight spojrzała za siebie i szybko kiwnęła głową.

Wspólnie wzbili się w powietrze i lecieli kilka metrów nad głowami żołnierzy. Patrząc z góry, widzieli morze stali, z niewielkimi przerwami. Po pewnym czasie, dolecieli na przód, w tym samym momencie co Cesarz. Na jego ramieniu przysiadł orzeł. Z prawej i lewej strony, dotarli rycerze niosący chorągwie. Jeden, czerwoną z orłem, a drugi niebieską z żółtym młotem

- Kislevskie siły czekają na sygnał do wymarszu - zameldował ten który wracał od zachodu.

- Tak samo Ostermark i nasze bractwa.- oznajmił rycerz wracający z wchodu.

Rycerze ustawili się z tyłu, po jego prawej i lewej stronie.

Cesarz spojrzał przed siebie. Rozpościerała się cudowna łąka, gdzieś biegał rzeka, wyrastał las. Odwrócił się. Na twarzach podkomendnych, rysowała się duma, szczęście i niecierpliwość. Orzeł wzbił się w powietrze. Po sekundzie, przywódca uniósł swój miecz i zakrzyknął:

- Wymarsz!!!

Rozkaz spotkał się z okrzykiem radości wśród podkomendnych. Unosili swe miecze, piki, halabardy czy muszkiety. Kolorowa mieszanka sztandarów, załopotala na wietrze. Uderzane bębny wygrały rytm. Rozbrzmiał równy krok tysięcy. Marsz w celu odzyskania ziem ojczystych, właśnie się zaczął. Bogactwo, albo śmierć. Co mało jednak prawdopodobne.

Dwa dni. Dwa. Bite. Dni. Tyle właśnie musieli iść żołnierze. Jedli w drodze, a o spaniu nie było mowy. Można by zatem stwierdzić, że dowódcy byli wymagający. Prawda, ale żołnierze nie narzekali. Siłą napędową, był ich zapal. No i jeszcze to, że przechodzili w życiu gorsze wędrówki. Na uprzywilejowanej pozycji, byli jeźdźcy i kierowcy czołgów. Ci, od czasu do czasu mogli przymknąć oko. Gorzej radzili sobie Twilight, Flash...oraz konie. I tak, na jednej z polan:

- Idziemy już bardzo długo. - rzucił Flash do Cesarza - Musimy...

- Wiem że to dla was trudne. - przerwał mu - Ale obiecuję ci, że po tym wszystkim, wyśpisz się za wszystkie czasy.

- Trzymam cię za słowo.

Po chwili, Cesarz zatrzymał swoją formację. Przed nimi, jawił się gęsty las, z dość prostymi, znaczy chudymi, drzewami. Jeno piaszczysta droga, dość wąska, stanowiła przejście dalej.

Artur wykonał gest ręką, a kapitanowie go powtórzyli, aż żołnierze zaczęli zwężać formację.

Nakazał, aby na przód wyjechał czołg, który jako pierwszy wjechał do lasu. Za nim, szła reszta. Prężne oddziały, zwężyły się w jedną kolumnę, której szereg składał się z czterech ludzi. Szermierz, muszkieter, muszkieter, Szermierz. Dziesięć szeregów. Potem: halabardnik, kusznik, kusznik, halabardnik. Dziesięć takich szeregów. Potem: pikinier, łucznik, łucznik, pikinier. Dziesięć takich szeregów. I od nowa. Chodziło o to, by w razie zasadzki, strzelcy nie byli narażeni na atak. Konnica jechała zarówno z tyłu, jak i przy Cesarzu. Cisza panująca w lesie, została zachwiana przez kroki ludzi i koni. Ptaki, jelenie i mniejsze ssaki, widząc nadchodzącą kolumnę, uciekały w różne strony.

- Jak bezpiecznie jest w tych lasach? - zwrócił się Cesarz do Flasha.

- Jeżeli idzie o zwierzęta, bywa różnie. Natomiast nic nie wiem o partyzantach. - odrzekł po chwili zastanowienia.

Artur ułożył młot przy specjalnie przygotowanym miejscu i wyciągnął samopał. Wtedy, rozległ się dźwięk akordeonu. Kilku kawalerzystów, zaczęło donośnie śpiewać, a jeden trzymał rzeczony instrument.

*„Od Kislevu jadę, szabelką wodzę,
Wynieś mi kuferek, moja najmilejsza,
O to cię proszę, o to cię proszę.*

*Nie dam ci kuferka, bom nie powinna,
Niechże ci go poda, niechże ci go poda
W Kislevie inna, w Kislevie inna.*

*Ty kislevską pannę skrycie miłujesz,
A teraz ode mnie i to potajemnie
Daru potrzebujesz, daru potrzebujesz.”*

Kolejni żołnierze przyłączali się do swoich towarzyszy.

*„Nie było tam czasu panien miłować,
Z rana do wieczora, z wieczora do rana
Końmi powodować, końmi powodować.*

*A jaki twój napój, żołnierzu miły,
Woda wyciśniona spod kopyta konia,
Oto napój mój, oto napój mój.”*

Cesarz uśmiechnął się, ale przez nieuwagę, prawie uderzył w czołg, który to zatrzymał się bez ostrzeżenia. Śpiew ucichł, żołnierze stanęli.

- Co się stało? - zapytał głośno Cesarz, w stronę czołgu.

- Niech ktoś przyjdzie na przód. - odpowiedział jeden z kierowców.

Gdy inżynier skończył, Twilight zaczęła iść w stronę przodu czołgu. Za nią, powolnym krokiem, szedł Flash.

Jak tylko obeszli stalową maszynę, ich oczom ukazała się zakapturzona postać. Bez wątplenia, był to kucyk. Na ziemi leżał koszyk i kilka jabłek. Nieznajomy, czy nieznajoma, pośpiesznie podnosiła i wrzucała owoce do koszyka.

- Nic się nie stało? - spytała z niepewnym uśmiechem Twilight.

- Nie nie - odezwał się kobiecy głos.

Za pomocą magii, Twilight pomogła nieznajomej w pozbieraniu upuszczonej zawartości.

- Dziękuj. - rzuciła zimno, po czym podeszła do wysłanników.

- Dla ciebie nie ma ratunku, pani. A ty mogłeś się przydać - wyszeptała i zaczęła uciekać.

Lekko zdezorientowani, usłyszeli krzyki.

- Pułapka!!!

- Z prawej!!!

Pośród drzew, po obu stronach, biegli zakapturzeni partyzanci. Były wśród nich jednorożce, gdyż kilka magicznych pocisków, trafiło w czołg. Jednak nie zostawiły nawet rysy.

- Pozycje!!! - zakrzyknął Cesarz.

Momentalnie, żołnierze zaczęli zmieniać ustawienie. Ci od wschodniej strony, w prawo. Ci od zachodniej, w lewo. Strzelcy stykali się ze sobą plecami. Pikinierzy i halabardnicy ustawili swoją broń w pozycji poziomej, żelazną stroną w kierunku lasu. Miecznicy pewnie chwycili tarcze i klingi swoich mieczy również skierowali w stronę lasu. Każdy piechur, czy to z bronią białą, dystansową czy prochową, klęknął. Kawaleria ciężka, otoczyła swoich lżej uzbrojonych towarzyszy. Cesarz puścił wodzę i dobył drugi samopał. Wycelował swoimi pistoletami w stronę obu części lasu. A wszystko w przeciągu kilku sekund. Twilight i Flash, podbiegli do Artura.

- Co robicie?! - zakrzyknął pośpiesznie pegaz, uchylając głowę przed lecącą błyskawicą.

- Czekać... - powiedział spokojnie Artur. Oddechy i bicie serc żołnierzy, narastały wraz z każdą chwilą. Strzelcy ocierali pot z czoła, by ten nie zasłaniał im widoku. Łucznicy i kusznicy ładowali swoją broń. Muszkietierowie przybliżali głowy do swoich karabinów i opierali lufy na ramionach mieczników, by te się nie kiwały. Gdzieś dalej, można było usłyszeć krzyk rannego, trafionego najpewniej pociskiem magicznym. Powoli nerwy zaczynały im puszczać. Pociągnąć za spust? Puścić cięciwę? Rzucić się na wroga? Młodziki zostały opuszczone przez swoją pewność. Na szczęście starsi koledzy przywracali ich do porządku. I nagle pociski przestały lecieć. Chwila ciszy. Wróg odstąpił? Pomiędzy drzewami ruch zamarł. Ale oto, partyzanci przystępują do bezpośredniego ataku. Zbliżają się. Biegną, by pochwycić swoją zdobycz.

- Chwila... - rozlega się głos Cesarza.

Coraz bliżej. W odległości kilku metrów. Na wyciągnięcie ręki...

- Ognia!!! - słychać krzyk.

Głęboki wdech, oboje oczu otwarte. Nie minęła sekunda, jak pociski poleciały w stronę wroga. Huk zapalonego prochu, niegotowym szkodził. Kłęby dymu podniosły się z panew i luf. Widok, oraz ocena sytuacji, nie były w ogóle możliwe. Gdy się ulotniły, żołnierze mogli dostrzec swe dzieło. Niczym prosta linia, leżeli partyzanci, oddzielający las od swych oprawców. Ich okrzyki radości, zmieniły się w jęki bólu. Na szczęście...szczęście. Śmierci nikt nie poniósł. Ale sam widok, nie należał do przyjemnych. Przynajmniej dla Flasha i Twilight. Nigdy w swoim życiu, nie doświadczyli czegoś takiego. Strzały i belty powbijały się w różne części ciała. Niektóre, zabłąkane pociski, były powodem częściowego oślepienia. Natomiast każdy ranny mógł chodzić. Kulejąc, ale jednak. Nieprzygotowani na taki ból, leżeli sparaliżowani, nie wiedząc co się właściwie stało. Także ci bez uszczerbku, stojący za drzewami, jakby przybici do ziemi. Piechota uregulowała oddech i na niektórych twarzach rysował się uśmiech zadowolenia. Jeden z rajtarów, widząc przestraszonych i otepiałych przeciwników, wystrzelił w niebo. Momentalnie Equestriańczycy uciekali co sił w głąb lasu.

- Co? Już wam się znudziło? - zakrzyknął jeden z piechurów.

Sześćset dusz, zaczęło śmiać się do rozpuchu.

Co pewniejsi, zaczęli się przekrzykiwać.

- Tylko się nie zabijcie!

- Teraz to już nie zabawa, co?

- Pozdrowienia od Sigmara.

Jak tylko ranni zaczęli się podnosić i uciekać, poleciała w ich stronę nowa wiązanka.

- Ej no chwila! Chociaż nam amunicję oddajcie.

- Do nie zobaczenia.

Konni strzelcy, mający naładowane pistolety, chcący jeszcze postraszyć i ponaglić nieszczęśników, wypalili

Cesarz nie reagował. Żołnierz musieli się wyszumieć. Przeczuwał taki obrót spraw i w pełni to rozumiał. Niestety, przeczuwał też zachowanie Twilight. I także się nie pomylił.

Widząc rannych, poczuła lekki ból w mniej więcej tych częściach ciała, gdzie trafiły ich pociski. Zarówno na grzbiecie, nogach, brzuchu czy palenie głowy. Widziały już gorsze rzeczy, nawet śmierć. Ba, nierzadko była jej przyczyną. Ale wtedy byli to nieznajomi. Teraz, jej rodacy czuli grozę. Kto wie, czy to nie byli przyjaciele czy rodzina tych których znała osobiście. A gdy żołnierze zaczęli szydzić, jeszcze bardziej zaczęła współczuć nieszczęśnikom. Równocześnie do ludzi, czuła wstręt i obrzydzenie. Flash trochę mniej to przeżył.

- Ty! Do mnie! - zawołał Cesarz do jednego z rajtarów, gdy reszta kolumny zaczynała się uspokajać.

Jeździec podjechał i usłyszał:

- Weź dwóch kompanów i sprawdźcie stan naszych.

Chwilę potem, trzech konnych jechało wzdłuż formacji.

Artur schował samopasy i ponownie wyjął miecz. Mimowolnie zauważył, jak Twilight spogląda w las.

- Wiem co sobie myślisz - zaczął - Mimo wszystko, mogło być gorzej.

- Niby jak? - spytała, nawet na niego nie patrząc.

- Wieżyczka czołgu mogła zacząć strzelać seriami, a tego nikt by nie przeżył. Mogłem także nakazać, by konni ich ścigali. A patrząc na ich stan, nie skończyłoby się to dobrze. - wytłumaczył.

- Ale dlaczego twoi ludzie tak się nad nimi pastwili? - ponownie spytała, patrząc mu w oczy.

- Muszą się wyszumieć. To w końcu ich pierwsze zwycięstwo. Następnym razem zachowają się z większą powagą. Powstrzymywanie ich, tylko by dolało oliwy do ognia. - uspokoił ją - Po za tym, muszkiety nie były naładowane.

- Co? Przecież...

- Wystrzeliły, fakt. Tylko że żadna lufa nie posiadała w sobie kuli. Ta broń posłuży tylko dla strachu.

Po paru dobrych minutach, rajtarzy powrócili i zameldowali:

- Ogółem dwudziestu - raportował jeździec.

- Mogą chodzić? - do pytał Cesarz.

- Na szczęście, żaden z naszych nie oberwał w nogę. Także wszyscy, mają oboje oczu - stwierdził inny.

- Doskonale. Wyprzedźcie czołg i wykonajcie zwiad do końca drogi - rozkazał Artur.

Rozległ się dźwięk uderzenia o metal i trzech kompanów wyprzedziło nieruchomą maszynę i szybko jechało wzdłuż drogi.

Krzyk kapitanów przywrócił żołnierzy do porządku. Trzy proste komendy: wstać obrót, marsz. Wykonane bez zwłoki. Gdy głosy ich zaczęły wymawiać rozkaz ruchu, czołg ponownie był na chodzie. Z rury buchnął ciemny dym, a koła zaczęły się kręcić. Znowu w ruchu. Twarze zbrojnych jeszcze jaśniejsze i bardziej zadowolone. Paru rannych, musiało schować broń, by trzymać się jedną ręką za bok, czy drugą rękę. Ale nawet oni, patrząc na innych. Czuli ból, ale nie było czasu się zamartwiać, gdy panowała tak otwarta i przyjazna atmosfera. Co po niektórzy, dostrzegali jeszcze wycofujących się, ale nie mogli już nic zrobić.. Flash, widząc posępną twarz jego towarzyszki, zaczął:

- Nie martw się. Nic im nie będzie. Przekażą wieść innym i może ataki już się nie zdarzą.

- A jeśli nie? - przerwała mu - A jeśli Celestia i Luna, będą rzucać wszystko czym dysponują? I każdym?

- Może strażników. Ale nie cywili - uspokoił ją - Stałoby się to zbyt dziwne. Ona nie jest taka głupia.

- Chyba masz rację - przyznała.

- I wiesz. Shining nie rzuci wszystkich swoich... - przerwał, gdy przypomniał sobie pewien szczegół - Ja nie chcący...

Twilight uśmiechnęła się z politowaniem.

- Po tym co doświadczyłam, jego reakcji aż tak się nie boję. A właściwie...Jak on to przeżył? Moje zniknięcie?

Pegaz podrapał się po głowie.

- No wiesz... Przez jakiś czas, nie było z nim żadnego kontaktu. Księżniczka Cadance, próbowała go pocieszyć, ale bezskutecznie. Nie jestem pewien czy dowiedział się o twoim powrocie.

- Do odhaczenia został on i...- myśl o rodzicach, powodowała u niej lekką niepewność.

- Tak czy inaczej, prędzej czy później się z nim spotkamy. - powstrzymał ją.

Po tej jakże krótkiej batalii, Equestria zaczęła jeszcze bardziej przypominać tamten świat. Lasy? Różnice mógłby dostrzec jedynie świetny znawca. Polany? Nic nowego. Także ziemia tutaj, skosztowała krwi, przelanej w wyniku walki. Ziemia tamtego świata, można by rzec że była wręcz pijana. Nikt z ludzi nie mógł ocenić na chwilę obecną gór. Brakowało jedynie rozległych stepów, po których jeździły by dzikie plemiona Kislevu.

Droga szybko się skończyła. To znaczy, dla żołnierzy, dla których takich odcinek nie był czymś strasznym. Dla ich mniejszych towarzyszy natomiast, dłużył się niemiłosiernie. W końcu wyszli z boru. Czołg odjechał na bok, ukazując podróżnym łąkę, pokrytą gęstą trawą, czy okazjonalnymi kamieniami. Niby nic. Ale bardziej romantyczni, zaczęli ukazywać swój poziom społeczny, za sprawą swoich marzeń.

Między sobą zaczęli rozprawiać, jakby to ten teren wygospodarowali. Jedni mówili, że to doskonałe miejsce na uprawę. Ziemia dobra, można by wykarmić całą armię. Inni, twierdzili że można by tu usadowić kompleks fabryk. Równy teren, można by się dorobić, a i produkować dla dobra ogółu. Tylko patrzeć, jak pięknie kopcą. Jeszcze inni rozprawiali, że tu by się osadnicy mogli rozwijać. Drewna jest, okolica spokojna, nic tylko sprzedać teren jakiemuś bogaczowi, chcącemu rozwinąć karierę zarządcy. Jeden tylko, zarzucił że tu jest pięknie i bez zmian. Miejsca gdzie nie dotarła ludzka myśl techniczna, powinny pozostać sobą. Na szczęście nikt go nie słyszał, przez panujące sprzeczki. I dobrze, bo pewnie mógł zostać wyśmiany. Cesarz zatrzymuje formację, gdy tylko cała opuści las. Spogląda na horyzont. Daleko, mienia się wzniosłe szczyty. Ich cel. Za nimi...Kryształowe Królestwo. Heh. Królestwo. Jakby jedno miasto można było nazwać królestwem. Najświetniejszy Elektorowie Imperium, posiadają więcej ziem, a mają tytuł Książąt. *Ciekawe*. - pomyślał Artur. - *Flash wspominał, że szwagierka Twilight, włada tym..., państwem*". *A mimo to, nadal ma tytuł księżęcy. Nie królewski. Ta kraina naprawdę rządzi się dziwnymi zasadami.* Przywołał jednego z kapitanów, donośnym krzykiem. Gdy ten dotarł, jego przełożony zaczął:

- I co sądzisz?

- Duży teren. Ludzie będą mieli gdzie spać, ale problem jest z obroną. Trochę nam zajmie, wyrąb drzew i budowa palisady - skomentował oficer.

- Kto mówił o palisadzie? - przerwał mu.

- A jak będziemy się bronić w przypadku...

- Rozstawisz nasze wozy. Nasi żołnierze ułożą się w pewien rodzaj koła. - wyjaśnił Cesarz.

- Mamy stworzyć tabor?

- Dokładniej, wozy nie mają stworzyć okręgu. Rozstawisz kilka na obrzeżach, głębiej i w samym centrum. - rozplanował, wymachując ręką.

Pusta łąka, dotąd obiekt marzeń wojskowych, zmienia się w postój dla tych, co przeszli chrzest wojenny. Wozy, ułożone na obrzeżach, tworzyły między sobą dosyć duże luki. Te bardziej w środku, usadowione były właśnie na tym poziomie. Tak i ostatni krąg. Jako że, nie starczyłoby wozów na zrobienie pełnego kręgu, należało ustanowić właśnie takie, a nie inne ułożenie. Ale nawet mimo to, luki były. Mimo to, obrona mogła się okazać skuteczna. W razie ataku, strzelcy nie mieliby problemów z wybraniem miejsca. Albo pod, albo nad prowizoryczną barykadą.

Wojskowi szybko się zadowolili. Noc się zbliżała, ale wykonali parę naście ognisk. Śmiali się z mniej wytrzymałych psychicznie towarzyszy, a ci, robili dobrą minę do złej gry. Ale zabawa zabawą, bo trzeba było jeszcze zadbać o obowiązki. Oczywiście, najpierw rozstawić ich jedyną obronę. Ciężkie zadanie. Nie używali koni, jako że te były zmęczone po podróży. Zajęcie czasochłonne, ale żołdacy nie byli tym zbyt zbulwersowani. Głównie z powodu faktu, że wiedzieli co po robocie. I nie mylili się. Dano im zielone światło. Chociaż...Mogli to zrobić wcześniej. Przemieszczanie poszłoby szybciej. Niby nic, ale zniknięcie kilku beczek z piwem, czy butelek z winem i wodą ognistą, zmniejszyłoby wagę.

Ale żeby nie było, że w wozach sam alkohol. Choć podkomendni byliby wniebowzięci. Po za beczkami ze złocistym, tanim napojem, były również takie z suszonym mięsem, kiszoną kapustą, ogórkami. Na nieszczęście reszty, trafiło się też kilka z solonymi śledziami. No i rzecz jasna, z zawartością która mogłaby przypominać ziarnka maku. Jasnym jest, że lepiej nie przygotowywać z tego ciasta. Źle reaguje na ogień. Ale wracając do zaopatrzenia...Skrzynie, w których to znajdowały się suchary. Niezbyt smaczne, ale długoterminowe. Kosze z owocami i warzywami. Marchew, sałata, kapusta czerwona, pomidory, jabłka, gruszki, wiśnie, winogrona...słowem, czego dusza zapagnie. Broń i pancerze, były w zdecydowanej mniejszości. Wyposażenie, miało być wymieniane tylko wtedy, kiedy aktualne jest do niczego. A patrząc na prognozy, nie było o co się martwić.

Robota skończona, ogniska rozpalone, ranni opatrzeni. Niebo ciemnieje, patrole ustalone, dźwięk otwieranych beczek, odkręcanych korków, stuknięcia szkła, okrzyki radości. Nawet oficerowie i Cesarz, mają w rękach specjalne kieliszki. Twilight i Flash trzymają się na uboczu. Ale okrzyki, śmiech i dobra atmosfera przerwana. Przywódca, ma coś do ogłoszenia:

- Panowie. Przyjaciele. Żołnierze. Gdy wyruszaliśmy z naszej ojczyzny, mówiłem wam że nie będę do walki dążył, ale nie przeczyłem że nas nie spotka. I rzeczywiście. Szybciej, niż się spodziewałem. Ale gratuluje wam. Jest to chyba pierwszy przypadek, gdy udało wam się przegnać nieprzyjaciół, wystrzeliwując jedną salwę. Odczuwam wielką dumę. Oby takich zwycięstw było jak najwięcej. Utrzymajcie stan rzeczy, a to wszystko skończy się w tydzień. Jednak teraz, wznoszę toast. Za waszą determinację, wykonywanie rozkazów bez żadnego sprzeciwu i celne oko. Zdrowie!

- Aj! - rozniosło się echo, szczęśliwych dusz.

Jednak wtedy, gdy już nic nie mogło przerwać popijawy:

- Panie! - zakrzyknął jeden z gwardzystów - Przybyły orły Konrada, Aleksandra i Jana.

Uwaga wszystkich, skupiła się na kurierze.

- Więc chodź przyjacielu. Czytaj - nakazał Cesarz.

Lekko zdenerwowany, ale chętny wyszedł na środek. Rozwinął zwitek papieru i zaczął:

- Wieści od Cara! Podczas podróży, zostaliśmy przygwożdżeni. Szarżowała na nas duża banda. Wystrzeliliwując zaledwie raz z armat, zmusiliśmy wrogów do ucieczki. Żadnych strat, zarówno u nas, jak i po stronie przeciwnika. Każda załoga, straciła jeno jedną kulę. Potraciliśmy również paręnaście granatów. Podpisano, Fiodor Berdnikov, pierwszy oficer.

Przeczytana wiadomość, wzbudziła radość wśród zgromadzonych.

- Raport od...mości pułkownika Orłowskiego! - zaczął ponownie kurier - Udało nam się zarekwirować cztery wozy z bronią. Dokonaliśmy też rozbroyenia sześciu strażników. Straciliśmy zaledwie jeden pocisk. Podpisano, Ernest von Witt, pierwszy rajtar.

Okrzyki zadowolenia, roznosiły się echem.

- Sprawozdanie od Wielkiego Mistrza Zakonu Pantery, Aleksandra! - na te słowa, Artur lekko się zaniepokoił - W krótkiej walce bezpośredniej, do niewoli wzięliśmy sześćdziesięciu żołnierzy wroga, w tym gwardzistę i oficera. Kilku zbrojnych, odniosła niegroźne obrażenia. Żadnych strat w amunicji. Podpisano, Komtur Mulig.

- Ura!!!Ura!!! - jakby jednym głosem, krzyknęli żołdacy. Także Artur odetchnął z ulgą.

I w końcu, zabawa mogła rozgorzeć na nowo. Kurier zwrócił się bezpośrednio do przywódcy.

- Każdy z nich, wykonuje postój. Książę Ostermarku nie pisał nic o potyczce. Ale on także rozbija obóz.

- Świetnie. Teraz...- przeciągnął Cesarz - Przyłącz się do reszty.

- Z chęcią panie - odmeldował z zadowoleniem i schowawszy papiery, znikł w tłumie.

Flash, usłyszawszy wiadomości, zwrócił się do towarzyszki:

- Może to skończy się szybciej niż zakładałaś na początku?

Nie uzyskawszy odpowiedzi, odwrócił się. Twilight spała. Trochę dziwne, zważywszy na brak ciszy. Jednak patrząc na to, ile drogi pokonała, było to całkowicie zrozumiałe. Pegaz uśmiechnął się z politowaniem, rozejrzał, i z wozu pod którym byli, wyciągnął jeden z koców, którym przykrył śpiącą. Oparł się o koło i również zamknął oczy.

A tłum? Dobrze wieści, potęgowały powody do picia. Źle wygląda, gdy podnosi się butelkę z powodu zwykłej chęci upicia się. Lepiej jest powiedzieć: „Zdrowie następcy”! I już nie patrzysz jak na pijaka, tylko na człowieka który szanuje swoich dowódców. Przynajmniej tak im się zdawało. Zwykła popijawa. Od co. Ale tak naprawdę, tylko co poniektórzy nie znali słowa stop. Ich szklanki pustoszały co chwila. Niekiedy zawartość nie była wlewana do ich gardeł. Reszta też piła, ale z umiarem. Napełniali szkoło zaledwie trzy-cztery razy. Brali również mniejsze łyki. A niekiedy wybierali słabszy rodzaj alkoholu. Tylko nieliczna grupka osób, w ogóle nie piła. Albo prosili tylko o jeden kufel piwa. A oficerowie i rzecz jasna Cesarz, raczyli się wiekowym, wybornym winem. Woda ognista, była też stosowana by odkazić rany. Bolesne, ale innego sposobu nie było. No ale żeby nie tylko skupiali się na picciu. Człowiek od zaopatrzenia, nie wiedział chyba o tym, że dba o zapasy dla kilku setek

chłopa. Ale przynajmniej konie nie będą się tak męczyć. Mieć nadzieję, że wojskowi zrobili sobie zapas tłuszczu.

I zabawa mijała. Kolejne beczki i butelki pustoszały. W końcu, każdy usiadł i okrył się przydzielonym kocem. Rozmowy nie ustały. Teraz, gdy bardziej chętni do picia spali, mogła się odbyć zwykła wymiana zdań. Pod jednym z wozów, siedziało dwóch kolegów. Jeden siedział, a drugi spał.

- Stefan - powiedział jeden z rajtarów do śpiącego kolegi - Stefan, cholera wstawaj!

- Co jest? - zapytał obudzony - Do kurwy nędzy Franz! Nie dasz człowiekowi pospać.

- Masz ten akordeon? - zapytał bez krzty poruszenia.

- Mam. Ale jak będę musiał na nim grać, to rozbije go o twój pusty łeb - zagroził Stefan.

- Ni. Daj go - wyjaśnił Franz.

Zaspany towarzysz, przeciągnął się i spod koca wyciągnął rzeczony instrument.

- Masz. A teraz daj mi spać, albo będę pierwszym którego tu rozstrzelają za zdradę - rzekł i znów wrócił do swojego zajęcia.

Po dostrojeniu akordeonu, rajtar przytoczył niedokończoną wcześniej pieśń:

*„A jaki twój obiad, żołnierzu miły,
Sztuka mięsa z konia pod siodłem tłuczona,
Oto obiad mój, oto obiad mój.”*

Gdy reszta usłyszała śpiew kolegi, przyłączyła się.

*„A jaka twa pościel, żołnierzu miły,
Trzy liście klonowe, karabin pod głowę,
Oto pościel ma, oto pościel ma.*

*A jaka twa śmierć, żołnierzu miły,
Kula zabłąkana, pierś poprzebijana,
Oto śmierć moja, oto śmierć moja.*

*A gdzie cię chowali, żołnierzu miły,
Na tym pustym polu, przy suchym kąkolu,
Dół wykopali, dół wykopali.*

*A czym ci dzwonili, żołnierzu miły,
Nad moim grobeńkiem, ciemnym wieczoreńkiem
Z gwerów strzelali, z gwerów strzelali.*

*Kto za tobą płakał, żołnierzu miły
Siwa kukaweczka, biała turkaweczka,
Tambur kołatał, tambur kołatał. ”*

- Patrole ustawione? - zapytał Cesarz jednego z kapitanów, nasłuchując.

- Oczywiście. Zgodnie z zaleceniami.

- Świetnie.

Piosenka skończona, a wśród odpoczywających żołdaków, rozniósł się grom oklasków.

- Czas na spoczynek - stwierdził naczelnik.

Oficerowie obeszlą parę razy teren, nakazując zgaszenie ognisk. Równało się to, z oddaniem błogiej senności.

- Spokojnej nocy. - rzucił Artur to swoich kapitanów.

Jedyną rzeczą która rozświetlała noc, były gwiazdy, księżyc i pochodnie patrolujących.

Gdy wszyscy spali od kilku dobrych godzin, Flash obudził się. Zły sen? Może. Tak czy inaczej, przetarł oczy i zauważył palące się ognisko. Wstał i powoli zbliżał się do źródła światła. Ostrożnie, aby nie przewrócić się, czy nie nadepnąć śpiących. Przy samym ognisku, siedział sam Cesarz, spoglądając w czerwono-żółte płomienie. Pegaz podchodził powoli.

- I na co się skradasz? - rzucił niespodziewanie człowiek - Mają zbyt głęboki sen.

- W przeciwieństwie do ciebie. - zauważył, gdy stały już przy nim.

- To chyba ty narzekałeś, żeś niewyspany. Ale było. Siadaj.

Niższy towarzysz, spokojnie zasiadł obok przywódcy. Przez pierwszą chwilę, siedzieli w milczeniu. Wtedy Artur westchnął:

- Uwierzyłybyś? Taka sława, popularność. Można rzec uwielbienie. Wszystko przepada w zaledwie miesiąc. „Jednego dnia będą nosić na rękach, a drugiego płuć z okien.” O ile to co mówiła było prawdą.

- Tak. Strach pomyśleć, co by było gdybyście się nie zjawili akurat w takim momencie.

- Nawet teraz nie jest całkowicie bezpieczna. I obawiam się o coś gorszego niż loch, czy pobicie - podważył wyprostowany - Pomimo tego, że jesteś przy niej.

- A możesz dokładniej?

- Spójrz na nią - wyjaśnił, po czym kiwnął głową w stronę tematu.

Pegaz odwrócił się we wskazaną stronę. Podniósł ze zdziwieniem brew.

- Wiesz już, o czym mówię? - zapytał ironicznie człowiek.

- Nie bardzo.

- Heh. Powiedziałbym że to nawet lepiej ale...Hm. To co do niej czujesz, zaślania pewien oczywisty fakt.

- Ja nic...

- To już robi się nudne. Nie zaprzeczaj. To jest całkowicie zdrowe i normalne. Miłość. Różne przybiera formy. Ale jasnym jest, że jest coś jeszcze.

- A mógłbyś sprecyzować?

- Słyszałeś o czymś takim, jak bliższy stosunek. Chęć założenia rodziny, posiadania potomstwa. Zbliżenie, jest w takim przypadku wymogiem. I zazwyczaj, dla obu stron jest czymś przyjemnym. Jednakże, zwłaszcza przedstawiciele naszej płci, uważają zbliżenie za

zabawę. Nie kieruje nimi namiętność, marzenia o pokoleniu. Nie. Wystarczy że zobaczą młodą i mówią do siebie: „Muszę to mieć.” Tylko że wtedy, cierpi ona. Ból, upokorzenie, a i problem w postaci...No chyba już się domyślasz. Żądza. Ohydna, nieczysta, kierująca najbardziej zwyrodniałymi umysłami. Mówię ci to dlatego, żebyś nie sądził że tacy którzy będą chcieli odebrać za Twilight nagrodę, oddadzą ją w stanie nienaruszonym. A i pewno w samych lochach może jej się to przytrafić. To że ją...zhańbią, jest bardziej niż pewne.

- Niech tylko spróbują. Zatłukę każdego z osobna.

- Odważne słowa. Ale to dobrze. W chwili próby, przynajmniej będziesz w stanie coś zrobić.

- Mowa. A, bo zapomnę. Dzięki.

- Znowu?

- Za to, że przez miesiąc nią się zajmowałeś.

- To i tak mało. Co było, to było. Została przeszłość.

- Racja - westchnął zrezygnowany pegaz - Ale jakoś sobie poradzimy.

- Jeżeli wszystko pójdzie po mojej myśli, a stara ojczyzna ponownie będzie należeć do Imperium, zawsze przyjmie was z otwartymi ramionami.

- Nie będzie potrzeby. Niedługo wszystko będzie jak kiedyś.

- Mogę cię zapewnić, że nic nie będzie jak dawniej. I nie sądzę że zaznacie spokoju w Equestrii. Ale powtarzam. Będziecie mogli na nas liczyć

- Zapamiętam.

- No cóż...- przeciągnął wstając - Pora by przyłączyć się do żołnierzy.

- Spokojnej nocy - rzucił pegaz, wracając do swojego miejsca snu.

- Wzajemnie. I, Flash - zatrzymał go Cesarz - Uważajcie na siebie.

- Spokojna głowa. - odpowiedział pewnie.

I teraz, wszyscy członkowie armii Artura spali. Nie licząc patrolujących. Ale ci, mają zmieniać się co kilka godzin. Jedno jest pewne. Cała grupa, odniosła wspaniałe zwycięstwo. Jedyne w swoim rodzaju, gdyż oddając zaledwie jedną salwę i nie zabijwszy żadnego wroga. Także stosunek rannych był imponujący. Dwie dziesiątki po ich stronie, a po stronie wroga prawie wszyscy. No ale żeby nie było. Nie tylko oni mieli się czym pochwalić. Oddziały Jana, Konrada i Aleksandra też miały powód do dumy.

Wojska brata Cesarz, maszerowały właściwie w równej odległości co inne armie. Siły, pod względem liczebności były podobne. Ale jeśli idzie o uzbrojenie, od razu można zauważyć różnicę. Nie byli to żołnierze z Imperium, a z domeny Jana, czyli Kislevu. Piechota, nie posiadała żadnej zbroi. Każdy piechur miał coś na wzór żupana w niebieskim odcieniu, oraz futrzaną czapkę. Szermierze, zamiast mieczy, dzierżyli szablę. Muszkieterzy, dodatkowo na wyposażeniu mieli berdysze, inaczej mówiąc topory z zakrzywionym ostrzem, przeznaczonym do miażdżenia pancerzy. I podtrzymywania luf. Drugą, jakby połowę, stanowili Kozacy. Choć nie można im odmówić bitności, oraz tego, że służyli jako

drogocenni włócznicy, to odziani w chłopskie ubrania, nie bardzo lubili się podporządkowywać oficerom Imperium. Ale Car, umiał przywołać ich do porządku. Na jego barki, spadł też obowiązek opiekowania się sześcioma działami. Równało się to, z obecnością dodatkowych koni, które to rzeczony armaty ciągly. No i oczywiście specjalne wozy z amunicją. Trzydziestu ludzi, do obsługi tych miedzianych rur. A i trzydziestka grenadierów. Od innych różnili się tylko posiadaniem toreb z rzeczonymi bombami. Poza tym, Jan wołał broń palną, od łuków i kusz. Nie dowodził też konnicą. Jedyni którzy rumaki mieli, to oficerowie, paru lekkich i on sam. Wtedy, gdy Artur i jego wojskowi wchodzili do lasu, brat i jego podkomendni toczyli się przez nizinny teren.

- Jak stan naszych ludzi? - zapytał, pobliskiego oficera.

- Świetnie mój panie. Pomimo takiego odcinka drogi, żaden z nich nie narzeka. Co w sumie zasładowiające.

Raport, został przerwany przez nadjeżdżającego gońca.

- Władco! - zakrzyknął - W naszą stronę zmiarają wrogie oddziały. W liczebności są podobni do nas.

- Ale my mamy tylko pięciuset do walki wręcz. W bezpośrednim starciu, możemy mieć problemy. - skomentował przywódca.

- Panie. To hołota. Nie mają z nami szans. - zaprzeczył kapitan.

- Nie lekceważcie ich. W przeciwieństwie do nas, mogą zaatakować z powietrza.

Mhm...

Teren był całkowicie odkryty. Żadnych wysokich roślin, drzew kamieni, skał. Nic. Byli podani jak na tacy. Tak, mogli zastosować standardową taktykę. Oddanie paru salw, walka wręcz, a wcześniej uszczuplić szeregi wroga, za pomocą dział, granatów i czołgu parowego. Tylko że mogłoby to przynieść dużą ilość rannych. A od pocisków artyleryjskich, mała szansa na przeżycie trafionych. A wytyczne były jasne, aby unikać zabijania. Był też inny problem. Na załedwie jednej bitwie, mogli stracić dużą ilość prochu i kul. A nie wiadomo, kiedy przybyły by uzupełnienia. Groziła też, dosyć duża szansa, że ludzie poniosą straty. Na szczęście, Cesarz nie bez powodu nadał takie, a nie inne jednostki swojemu bratu.

- Mam plan. Niedorzeczny, ale może się udać - stwierdził z optymizmem Car Kislevu.

Na te słowa, wszyscy oficerowie zbliżyli się. Po niespełna dwóch minutach, rozjechali się na całą długość formacji. Żołnierze, zaczęli wypełniać powierzone im rozkazy. Pierwszy szereg składał się z trzydziestu ludzi, wyposażonych w granaty i muszkiety. Aby zapewnić im dodatkową ochronę, przed nimi, posiadacze osółców powbijali piki, dobywając szabli czy pistoletów. Po ich flankach, zwykli strzelcy. Druga linia... Już bardziej niestandardowa. Działa. Ustawione jedno obok drugiego. Każde, unieruchomione poprzez podłożenie kamieni pod koła. A w środku, duma Imperialnej Szkoły Inżynieryjnej. Trzeci szereg, piechota z bronią białą oraz ci którym została broń drzewcowa. Kapitanowie, usadowieni w równej odległości od siebie przez cały obszar. A w środku, tuż za czołgiem, pomysłodawca ułożenia całej formacji. Żołnierze, lekko zdziwili się widokiem takiego nietypowego ustawienia ich kolegów. Grenadierzy, oprócz zdziwienia, czuli lekki stres. Oto tuż za nimi, armaty które mogły ich zdmuchnąć w ciągu sekundy. Na myśl o parowej

machinie, wzrost ciśnienia był niepowstrzymany. Uspokajali się, gdy otrzymali rozkaz uklęknienia na jedno kolano. Tak jak i zwykli strzelcy. Chwilowy spokój. Cisza. Wtem, roznoszą się krzyki, przez które bardziej skupieni, upuszczają swoją broń. Krzyki, były rozkazem skierowanym do załóg dział:

WSYPAĆ PROCH!!!

Jedna osoba, z każdej załogi, podnosi dosyć duży worek, rozwiązuje i wsypuje zawartość do lufy. Gdy wsypano odpowiednią ilość, worki znowu wylądowały na ziemi.

UBIĆ PROCH!!!

Ponownie, jedna osoba z każdej załogi, w rękach dzierży długi stempel. Ten właśnie przedmiot, wsuwają do lufy i parokrotnie ubijają zawartość, po czym wyjmują go.

WŁOŻYĆ PRZYBITKĘ I UBIĆ!!!

Czynności zostają powtórzone, tylko tym razem, zostaje włożona dziwna rzecz.

ZAŁADOWAĆ POCISK!!!

Przy każdej armacie, była sterta ciemnych kul. Jeden z członków załogi, chwyta tę najwyżej. Z trudem, podnosi i wrzuca do lufy.

PODSYPAĆ PROCH DO OTWORU ZAPAŁOWEGO!!!

Z drugiej strony dział, do małych dziur z góry, zostaje wsypana szczątkowa ilość czarnego prochu. W ten mały otwór, zostaje wepchnięty krótki kawałek sznurka.

I oto czekają. Naładowane, gotowe do wystrzału konstrukcje. Niczym rozwydrzone psy na łańcuchach. Każdy kto przy nich stoi, boi się wykonać najmniejszy ruch.

Kanonierzy trzymający pochodnie, w pełnym skupieniu. Gdy tylko usłyszą to jedno słowo, muszą przechylić trzymany przedmiot. Nie mogą spóźnić się choćby o minutę.

Przed linami żołnierzy wyposażonych w granaty, tuż za ścianą pik, powbijane pochodnie, by można było szybko podpalić lont.

Ponownie cisza. Konie spokojne, ludzie poddenerwowani. Chłodny wiatr, który to świszczwał im w uszach, porusza powoli trawę. Kapitanowie spoglądają przez swe lunety. Pusto. Jan wpatruje się w niebo, szukając latających wrogów. Nic. Może zwiadowca się

pomylił? Przesadził. Nie armia, lecz patrol. Z daleko wszystko wygląda inaczej. I może wcale nie uzbrojony przeciwnik.

A jednak. Już widać wrogie szeregi. Raporty kapitanów, powodują że wierzchowce nie mogą stać spokojnie. Wśród woskowych poruszenie. Grenadierom przyspiesza ciśnienie.

Przeciwnik przemieszcza się powoli. Coraz bliżej. Przez przyrządy można dostrzec rogi i skrzydła.

- Szykować się! - rozlega się głos przywódcy.

Strzelcy na flankach przechylają głowy do swej broni. Piechurzy w dwóch dłoniach dzierżą swe ostrza i pistolety. Piki przechylone.

Coraz bliżej starcia. Szarżują. Wygląda to tak, jakby wszystko co znalazło by się przed lub nimi miało zostać strąconie i podeptane. Pegazy wzlatują, ale nie oddalają się od swoich naziemnych towarzyszy. Jednorożce nie używają magii, by czasem nie trafić swoich. Za niedługo w zasięgu strzału. Mijają kolejne sekundy.

I oto, rozlegają się krzyki oficerów artyleryjskich:

- Teraz!!!

Ogień przechodzi na lont. Żołnierze zakrywają uszy i odsuwają się. Głośnie huki, w tej samej chwili, lub następujące po sobie. Kule opuszczają lufy, zostawiając przy wylocie małe kłęby dymu. Miedziane pociski lecą w stronę ziemi. Coraz bliżej. Odległość w metrach coraz mniejsza. I nagle grenadierzy podstawiają swoje rzucane pociski do pochodni. Lont się zmniejsza żołnierze rzucają swoją broń przed siebie. Szczęście? Wyliczenie? Cokolwiek by to nie było, wszystkie pociski uderzyły tak, że nikt z wrogów nie padł martwy czy ranny. Hałas był wręcz nie do wytrzymania. Kule armat i moździerzy, uderzyły tuż za pędzącą formacją wroga. Granaty wybuchały przed. Ludzie nie mogli sobie wyobrazić co odczuwali wrogowie.

Gdy pędzili, czuli się wspaniale. Jakby się odrodzili. Za chwilę mieli uderzyć w przeciwników i wypędzić ich z ojczyzny. Wyobrażali sobie wspaniałe ceremonie i parady, których to będą główną częścią. Te odznaczenia, pochwały, wyróżnienia. He. Jakże naiwni. Jan za bardzo ich docenił. W jednej chwili, usłyszeli wystrzały armat. Chwilę potem, przed nimi i za nimi, rozległy się okropne odgłosy. Jakby pioruny w nich waliły. Ziemia rozsypywała się, pokrywając ich. Dym, dostawał się do ich płuc, powodując kaszel. Oni? Sparaliżowani. Żaden pocisk bezpośredni nie trafił. Ale huki i dym, powodowały niepewność i strach. Oczekiwali jakby na to, że i oni zostaną trafieni. Hałas spowodował lekkie niedosłyszenie. Chwilę potem, kolejne, ściszone wystrzały. Jedyny opamiętały, krzyczy głośno:

ODWRÓT!!!

Minęło parę sekund. Zaprzesano wystrzałów. Dym nadal unosi się nad ziemią. Wojskowi wytrzeszczają oczy. Kapitanowie ponownie chwytają za lunety. Muszkietery celują w przód. Ale oto, kłęby się unoszą. Pusto. Żadnego wroga. Jedyną nową rzeczą, są dziury „wykopane” przez pociski. Jakiś żołdak krzyczy:

- Tam!!! Uciekają!!!

Kapitanowie potwierdzają. Wśród szeregów okrzyki radości. Strzelcy i Jan oddychają z ulgą. Głośny rozkaz, aby sprawdzić pobojowisko. Kilku konnych wyjeżdża na

przód. Z dokładnością, przeszukują każdy centymetr. Każdą dziurę. Zsiadają z wierzchowców, rozkopują kupy ziemi.

- Brak trafionych. Wszyscy uciekli. - Stwierdza zwiadowca.

Głęboki wdech Cara i myśl: „*Dzięki niebiosom*”.

- Panowie!!! - krzyczy głośno. - Rozkładać się!!! Nie marnujcie piwa i wina. Mamy powód do świętowania. Ale przedtem, po wyciągajcie swoją broń.

Kolejny okrzyk szczęścia. Wojskowi chodzą w obie strony. Jeden z oficerów podjeżdża.

- Panie. Za przeproszeniem, ale jaki jest powód do świętowania? Straciliśmy jedną kulę na jedno działo, żaden z wrogów nie poległ. - zapytał zaintrygowany kapitan.

- Przyjacielu. - przeciągnął Jan - Zgadza się toba, ale i powtarzam że taki jest nasz cel. Nie mamy ich wyróżnić. Udało nam się ich przegonić. W przyszłości, gdy tylko nas zobaczą, pouciekają we wszystkie strony. Nie toczymy wojny. To jest podróż do naszej ojczyzny. Poza tym, nikt z naszych nie został raniony.

Niższy rangą przytaknął.

- Gdy nasi się już rozłożą, napiszesz wiadomość do Cesarza. Musi wiedzieć o naszym postoju i zwycięstwie. - nakazał przełożony.

Oficer zasalutował i odjechał. Jan popatrzył w pobojowisko.

„Jeżeli ten widok się powtórzy, to mam nadzieję że nowym elementem nie będą truchła” - pomyślał.

Armia Konrada, różniła się całkowicie od tych którymi przewodził jego ojciec i wuj. Składała się w pełni z jazdy lekkiej. Głównie przeznaczonej do mniejszych potyczek, zwiadów, walki na zasadzie: „atak, odskok”. Można powiedzieć, że głupotą jest wysłać sześciuset lekkich, bez wsparcia pancernych. Ale tak jak w przypadku dział, Cesarz świetnie wiedział komu powierza dowodzenie. Jego bratanek zawsze, ale to zawsze podczas jakiegokolwiek bitwy, dowodził właśnie jazdą. Wypracował sobie świetne taktyki. Każdy jego podkomendny, wiedział że mimo iż musiał wykonywać rozkazy bezwzględnie, to mógł być pewny że nie są one wydawane przez głupca. A kto wchodził w skład tejże armii? Rajtarzy, ulubieńcy ich przywódcy, posiadający po dwa kołowe pistolety oraz rapier, ubrani w skórzany kaftan, spodnie i botforty – długie, sięgające za kolana skórzane buty. Dodatkową ochronę, stanowił napierśnik. Dragoni, którzy zamiast samopałów, używali arkebuzów. Poza tym, uzbrojeni w pałasze lub rapiery. Za pancerz, służył skórzany kaftan, głowę zdobił kapelusz. Kozacy, ze stepów Kislevu, którzy do walki używali pistoletów, szabl, łuków i czekanów. Najemnicy, których wyposażenie było zróżnicowane. Specyficzne oddziały zwane „straceńcami” tudzież „krwawymi psami”, ubrani w większości w jasnobrązowe żupany, łuki, pistolety i szable. Ostatnim, specyficznym rodzajem, byli kirasjerzy z wyrzutniami granatów. Wozów było trochę więcej, niż w armii głównej, ponieważ każdy jeździec miał przy sobie broń palną. Innym problemem, było to, że kozacy i „straceńcy” nie byli jakoś

bardzo zdyscyplinowani. Do plusów należało to, że mogli szybko się przemieszczać i łatwo atakować z zaskoczenia. Co ciekawe, w armii nie znalazł się żaden kapitan. Oczywiście, każda pomniejsza formacja, miała swoich dowódców. Jednak każdy z nich, doświadczony bardziej w dowodzeniu polowym, niżli planowaniu przed bitwą. Czas podróży tejsze formacji, był równoległy co innych armii. Sunęli przez pagórkowaty teren. Wzniesienia nie były bardzo wysokie czy strome. Nie był to też teren, w którym czuli się dobrze. Z każdej strony mógł zaatakować wróg, a pogoń za nimi mogła zmęczyć konie. Nie byli bardzo zbici. W razie ostrzału, ilość trafionych nie byłaby bardzo duża. Promienie słońca ogrzewały ludzi, ale nie na tyle by zaczęli się strasznie męczyć czy nadmiernie pocić. Kolejny plus, wynikający z braku ciężkiego pancerza. Na czele całej bandy, oddalony o kilka metrów, w towarzystwie paru żołnierzy Konrad.

- Nie podoba mi się to panie. - stwierdził jeden z towarzyszy - Mam złe przeczucia.

- Uspokój się. - rzucił błękitnej krwi - Nie mamy do czynienia z regularnym wojskiem. Co najwyżej pospolitym ruszeniem.

- No nie wiem, może i tak. - zgodził się niechętnie.

Wtedy, na niebie pojawił się orzeł. Krążył on nad terenem na wschód. Ptaki te, były niezwykle inteligentne. Konrad zatrzymał formację podniesieniem ręki. Przez parę chwil wpatrywał się w jego pierzastego przyjaciela.

- Wasza dwójka za mną! - krzyknął w stronę kozaka i rajtara.

Popędzili swe konie i pogalopowali w na wschód. Po paru sekundach, zbliżyli się do rozciągającego się pagórka. Pokryty trawa, przypominał wał. Gdy znaleźli się na szczycie, zobaczyli powód krążenia orła. U podnóża, biegła piaszczysta droga. Dosyć szeroka. A po niej, powoli jechała około piętnaście wozów. Na każdym położony kawałek materiału, przykrywający zawartość. Wytężając wzrok, można zauważyć strażników w pancerzach oraz tubylców.

- Co myślicie? - spytał syn Jana.

- Łatwy łup szefie. - stwierdził lepiej opancerzony - Przewożą najpewniej broń. Szybki atak i możemy powstrzymać nadchodzące konfrontacje.

- Da. - rzucił kozak - Będą mieli nauczki na przyszłość.

- Więc na co czekacie? Zwołać resztę. - nakazał.

Gdy tylko podążyli w stronę bandy, kuce zauważyły Konrada. Ten stał spokojnie, wbijając wzrok w ich stronę. Nie uciekali, a jedynie zwiększyli nieznacznie prędkość. Strażnicy zerkali na człowieka, ale nie ruszyli do ataku. I wtedy, ziemia zaczęła się trząść. Można usłyszeć krzyki. Konwój zaczyna coraz bardziej przyspieszać. Członkom zaczyna przyspieszać tętno. Z nerwów, zaczynają się pocić. I oto, krzyki są bardzo doniosłe, a z górki zbiega banda konnych. Niczym żywa lawina, której celem zgnieść wszystko, co spotka na drodze. W jednej ręce samopał, arkebuzer, muszkiet, szabla, miecz albo włócznia. Drugą ręką trzymali wodzę. W oczach mają rządę mordy. Prawie każdy, ma otworzone usta, z których wydobywają się głośne wrzaski. Przejeżdżają przez konwój, otaczają i blokują drogę. Strażnicy wystawiają włócznie. Konie rżą, a na każdej ludzkiej twarzy maluje się szyderczy uśmiech. Kilku żołnierzy spędza wszystkich w jedno miejsce. Mieszkańcy trzęsą się ze strachu. Postury ludzi i ich wierzchowców, powodują obawę przed przyszłymi zdarzeniami.

Wtedy, kilku najeźdźców odsuwa się, robiąc miejsce na przejazd dla swego przywódcy. Powoli, zbliża się do swojej zdobyczy. Z podniesioną dumnie głową, zaczyna swój wywód.

- Macie niezwykle szczęście. - mówi ironicznie - W tych rejonach kręci się wielu rozbójników. Niezbyt mądrze, podróżować z taką ilością wozów, bez ochrony.

Wśród żołnierzy, roznosi się złowrogi śmiech. Kucyk ziemski, o jasno brązowej karnacji, ze zdenerwowaniem w głosie odpowiada:

- Błagam. Nie róbcie nam krzywdy.

- My? Wam? - zapytuje z wyższością Konrad - Nigdy. Chcę tylko wiedzieć, co jest w tych wozach?

- Jesteśmy farmerami i zmierzamy na północ w obawie przed... - zapytany powstrzymał się od dalszej wypowiedzi.

- A ojciec mówił mi że wy mądrzy. - pokiwał głową syn Jana - Uciekacie akurat w tę stronę, w którą my zmierzamy. No, ale mówisz że przewozicie samą żywność. Hmm....

Spojrzał jeszcze na strażników, którzy ciągle trzymali swoje włócznie. Kiwnął na nich, po czym czwórka najbliższych dragonów zeszła z koni i podeszła do uzbrojonych.

- Niestety, przejazd kosztuje. A jako iż nie chcę waszych pieniędzy, ekwipunek tych strażników wystarczy. - poinformował człowiek - Ale zawsze możemy do załatwić w inny sposób.

Na te słowa, kilku strzelców wycelowało w stronę kucyków. Strażnicy rzucili swoją broń i zdjęli zbroje. Piesi zabrali ekwipunek i spakowali na grzbietach swoich koni.

- Skoro to już wszystko, to my będziemy... - zaczął śmielej rozmówca.

- Gdzie wam tak śpieszno? - zapytał błękitnej krwi - Muszę mieć pewność, że mnie nie oszukujecie.

Po tych słowach, podjeżdża do pierwszego wozu. Chwyta z materiał i zrzuca na ziemię. Same warzywa. Drugi, to samo. Tak trzeci, czwarty, piąty. Gdy zbliża się do szóstego dostrzega coś wystającego spod płachty. Zdejmuje ją, a jego oczom ukazuje się kilkanaście pancerzy, włócznie i hełmów.

- Sprawdźcie resztę. - woła do swoich.

Żołnierze przejeżdżają i odkrywają jeszcze trzy ładunki broni. Gdy tylko to zameldowali, złapani zaczynają panikować. Oddychają szybciej, patrzą nerwowo po ludziach, a co niektórzy mdleją. Konrad nakazuje swoim zarekwirować wozy i zabrać je do reszty zaopatrzenia. Podjeżdża do uległych i zaczyna:

- Cztery wozy. Cztery...wozy. Wy naprawdę myśleliście, że uda wam się je ukryć? Ehh...Naprawdę nie chciałem tego robić, ale cóż. Myślałem, jak sądzisz, ile wytrzymają? - zwrócił się do jednego z kozaków.

- Uuu, panie. Nie więcej jak dzień. No, co wytrwalsi może dwa. - stwierdził kręcąc głową.

- Ale...ale o czym wy mówicie? - zapytał ze strachem kuc ziemski.

Dziesięciu rajtarów, zeszło z koni, a trzech z nich niosło długi łańcuch.

- Dobrze że pytasz. Nie mogę pozwolić na wzmocnienie moich wrogów. A boję się, że jak was wypuszczę, to natychmiast pobiegniecie do reszty i powiecie im gdzie jesteśmy.

- Przysięgam, nic nie powiemy! - zaprzeczył.

- Wybacz mi, ale kieruje się zasadą, która mówi by całkowicie ufać tylko sobie. Nie wiercie się, albo może was zabołec.

- Nie! Nie macie prawa! - krzyknął z nagłą odwagą kuc.

Zaczął biec w kierunku Konrada, jednak został podcięty przez jednego z żołnierzy. Gdy upadł, poczuł jak coś przygniata go do ziemi. Do głowy zostaje mu przystawiony pistolet.

- Odwaga godna pochwały. - zażartował Konrad - Ale mam dla ciebie dobrą wiadomość. Nie będziesz musiał iść z resztą. Powiem więcej, osobiście wykopie ci mogiłę. Takie wyróżnienie.

Uległy zamyka oczy, oczekując tego co ma nadejść. Kirasjer już ma wystrzelić, gdy:

- Tato!!! - dobiega krzyk od strony jednego z wozów.

Wzrok wszystkich zawiesza się na tym miejscu. Z pewnym zaciekawieniem, przywódca podjeżdża powoli, trzymając prawą rękę na rękojeści miecza.

Zatrzymany próbuje wydostać się z potrzasku, ale powstrzymuje go silny nacisk żołnierza.

Gdy jeździec jest już przy pierwszym z wozów, kiwa w stronę trzech rajtarów. Podchodzą do niego, łapią za przód i przewracają. Po chwili, na ziemi ląduje cała zawartość. Wśród roślin, Arcyksiążę dostrzega małego żrebaka, o ciemno żółtej karnacji i zielonej grzywie. Otrząsnął się po upadku i skurczył gdy zauważył postury, patrzące na niego ze zdziwieniem.

- Gorszego miejsca nie mogli wymyślić. - wymamrotał Konrad - Sprawdźcie resztę, ale nie pozbywajcie się ładunku. I niech ktoś upewni się, że w tamtych nikogo nie było. - krzyknął.

Jeden z najemników pogalopował do swoich za górką. Reszta dosyć dokładnie wykonywała rozkaz. W każdym przypadku, pasażerów na gapę, było przynajmniej kilka.

- A co z nimi książę? - zapytał gwardzista - Ich też mamy zakuć?

Nie uzyskał odpowiedzi. Jego przywódca stał nieruchomo ze spuszczoną głową. Po paru sekundach otworzył usta, a jego ludzie usłyszeli niespodziewany rozkaz:

- Jedziemy dalej. Zostawić ich.

Każdy piechur wszedł na konia, a żreback pobiegł do rodzica.

- Ale panie, nie możemy tak po prostu tego zostawić. - zakwestionował rajtar. - Musimy...

Przerwał mu nagły wystrzał z samopalu.

- Ogłuchłeś? - zapytał ze spokojem syn Cara - Jedziemy dalej.

Banda zaczęła jechać w stronę pagórka. Między sobą, szeptali o decyzji swojego wodza. Gdy przejeżdżali, ich wrogowie ładowali zapasy na wóz i kontynuowali podróż.

Jak tylko znaleźli się w miejscu, gdzie stacjonowały ich zapasy i czołg, inżynierowie i najemnicy zaczęli pytać co się stało. Uzyskiwali zarówno długie, jak i jasne odpowiedzi.

- Rozbijać obóz. - rozległ się krzyk przywódcy. Żołnierze zabrali się do przygotowywania postojów. W tym czasie, jeden z rajtarów podjechał do stojącego na przedzie Konrada.

- Dlaczego ich zostawiłeś? - spytał z zaciekawieniem - Niepodobne do ciebie.

- Masz rację towarzyszu. - przytaknął - Ten dzieciak, uratował swoich.

- Więc mówisz, że przemówiła przez ciebie litość?

- Gdyby nie to, młodziki zostałyby bez ojca.

Jeździec zastanowił się przez chwilę, po czym spytał:

- Chyba nie rozumiem. Zabijałeś wielu wrogów, w tym ludzkich buntowników.

Wielu z nich mieli albo potomków, albo sami byli...

- He. Kiedy kogoś zabijasz, nie myślisz o tym, że czekają na niego rodzice czy dzieci. Nie masz poczucia winy. W twojej głowie jedyna myśl to: *Albo on, albo ja*. Jeżeli masz zasady, nie zabijasz bezbronnych. Jak na przykład mój kuzyn. Ja takiego kłopotu nie mam. Natomiast kiedy celujesz w przeciwnika i w tym czasie masz świadomość, że jego najbliżsi na to patrzą, nie możesz się przemóc. A przynajmniej ja tak mam. W takiej sytuacji, zastanawiam się: A gdybym ja znalazł się w takiej sytuacji? Że ktoś, kogo kochałem przez tyle lat, umiera na moich oczach?.

Żołnierz otworzył szerzej oczy.

- No szefie...Nie znałem cię od tej strony.

- Nie dziwię ci się. Ale spytałeś, więc udzieliłem odpowiedzi. Poza tym, mam jedną zasadę honorową. Nigdy, nie zabijać dzieci.

- Zrozumiałe.

- Tak. Ale dosyć tego. Napisz list do Cesarza, by przekazać mu o naszej zdobyczy i postoj.



Ostatni, ale nie najmniej ważny członek rodziny cesarskiej, stał na czele najbardziej, można powiedzieć, pancernej formacji. W przeciwieństwie do innych, tylko Aleksander posiadał broń palną, a raczej, jako jedyny posiadał broń dystansową. Nie licząc oczywiście czołgu. Reszta jego towarzyszy, do walki używali tarcz, mieczy, halabard i kopij. W skład tego ogromnego skupiska stali, wchodzili odziani w błękit, z żółtymi panterami na piersi, Rycerze Pantery. Ci świetni wojownicy, wywodzili się jeszcze z krzyżowców którzy wracali z wojny w Arabii. Porównywalnie dużą część, stanowili Rycerze Gorejącego Słońca. Nie posiadali oni herbów na piersi, ale ich złota zbroja i czarne oraz żółte pióra na hełmie, jak najbardziej wystarczyły. Ostatnią różnicą między nimi, a ich błękitnymi towarzyszami, to to, że jako byli synami szlachciców, mogli sobie pozwolić na lepsze wykonany ekwipunek. Przedostatnią, najmniej liczną grupą, byli Gwardziści Reiklandu, nazywani również templariuszami. Był to elitarny zakon, którego zarządzaniem zajmował się marszałek August. Zazwyczaj, służą jako osobista ochrona cesarza, jednak to pod dowództwem Aleksandra, byli kolejną częścią tej wielkiej zbieraniny. Ostatnimi, najbardziej niezwykłymi żołnierzami, byli Rycerze Gryfa, oraz ich towarzysze uzbrojeni w halabardy. Niby nie ich nie wyróżniało od innych, gdyby nie fakt, że zamiast koni dosiadali właśnie tych pierzastych stworzeń. Ich liczebność, wynikała z tego, że każdy członek musiał osobiście wytrenować swojego przyszłego towarzysza. Zazwyczaj kończyło się to rozszarpanym nieszczęśnikiem. Okrutne, ale dzięki temu wśród nich byli sami najlepsi. Dowodzenie tą zróżnicowaną armią, przynosiło synowi Cesarza wielką dumę i osobistą radość. Jednak do pełnego obrazu szczęścia,

brakowało mu pięćdziesięciu, nie, czterdziestu... nawet wystarczyłoby by pod jego komendą, znalazło się dwudziestu Legionistów Orła. Uważał ich za najwspanialszych żołnierzy, nie tylko wśród wojsk wolnych ludzi, ale jeżeli chodzi o ogół. Podczas całej swojej kariery, nawet raz nie miał okazji, by dowodzić tymi pięknymi hufcami. Zawsze, jedynie był obserwatorem. Ale służba nie drużba. W przeciwieństwie do dowodzonej przez Konrada jazdy, on i jego podkomendni odczuwali bezchmurny dzień. Nie był to letni skwar, ale rzeczywiście jakaś niedogodność. Teren nie należał do wyboistych, a łąka rozciągała się po horyzont. Jedyne poważny problem był taki, że gryfy zbyt długo pozostawały na ziemi. Przez dwie doby, nie miały okazji, rozprostować skrzydeł. A to mogło przynieść niepożądane skutki. Stwory oraz ich jeźdźcy, od rana byli na zwiadzie. Bezpieczeństwo i jakiekolwiek zorientowanie w terenie.

- Panie. Nie chcę wyjść na rozpuszczonego, ale kiedy w końcu dojdzie do konfrontacji? - zapytał jeden z gwardzystów Aleksandra.

- Tak ci śpieszno stępić swój miecz? Nie zaprzeczę, że również mam nadzieję na spotkanie z przeciwnikiem, to przede wszystkim musimy iść dalej.

- Zgadzam się, ale muszę zakwestionować pomysł wysłania Rycerzy Gryfa na zwiad.

- Boisz się, że zabiorą ci całą chwałę? - zapytał żartobliwie.

- Boję się, ale tego jak zareagują na tubylców. Pierwszy spotkanie, może...

- O to się nie martw. Jeźdźcy panowali nad nimi w gorszych sytuacjach.

- Zaraz zobaczymy. - powiedział Reiklandczyk, po czym wskazał na niebo.

Syn Cesarza zatrzymał formację podniesieniem ręki. Po paru sekundach, wyładowało przed nim rycerze, którzy na hełmach mieli przymocowane coś w rodzaju żelaznych skrzydeł. Sam hełm, przypominał garnczkowy, z tą różnicą że na przodzie nie było kilku szpar, a jedna, dosyć duża w kształcie litery „T”. Pancerze, były niezwykle grube. Przy próbie normalnego marszu, poruszanie byłoby męczące. I to bardzo. W rękach dzierżyli miecze i tarcze, a niektórzy tylko w jednej dłoni halabardę. Ich wierzchowce, różniły się między sobą paroma centymetrami wzrostu, czy różnicą siły, w szponach i łapach. Stwory nie posiadały pancerzy, oprócz przywódcy. Jego towarzysz, miał na łbie i górnej części dzioba, stalować powłokę, w której jedyną częścią odkrytą, były oczy. Oprócz tego, to tylko grzbiet był chroniony. No i boki.

- Jakie wieści przyjacielu? - zwrócił się Aleksander do przywódcy straży przedniej.

- Dobre i złe - rzucił krótko - Nie tak daleko, znajduje się mały obóz.

- No to przynajmniej będziemy mogli w końcu się skonfrontować.

- Szybciej niż sądzisz. Zauważyli nas i pędzą w tę stronę.

- Ilu?

- Na oko, około sześćdziesiąt. Ale tylko kilku z nich, to strażnicy. Reszta hołota z bronią, bez pancerzy.

Parę chwil potem, wśród szeregów panował głośny krzyk. Głównie kapitanów. Cała armia, ustawiała się w formacji półksiężyca, z krańcami na przodzie i środkiem w większym oddaleniu. Rycerze Gryfa wymieszali się z resztą. W samym środku, z dwoma gwardzistami trzymającymi chorągwie syn Artura prowadził swoich ludzi. Przechodząc kilka metrów,

dostrzegli sylwetki wrogów, zmierzających w ich stronę. Aleksander wyciągnął swój miecz, wyprostował rękę i pochylił ostrze. W jednej sekundzie, wszystkie konie zaczęły pędzić na wrogów. Rycerze opuścili kopie i halabardy. Tak samo, zrobili ich przeciwnicy. Z tą różnicą, że Equestriańscy musieli się męczyć, a ludzie w chwili konfrontacji, mieli zmęczone jedynie wierzchowce. Odległość coraz mniejsza. Emocje ludzi, skryte za hełmami. Osłona nie mogła za bardzo stłumić ich krzyków. Te, wydobywały się z każdego go gardła. Zbliżają się. Walka rozgorzała. Księżyc, przypominał bardziej rozwartą paszczę bestii, która zamknęła się gdy ofiara weszła za głęboko. Flanki zawróciły i wbiły się we wrogie tyły. Właściwie walczyła tylko linia pierwsza. Walczyła? Kopie na szczęście ogłuszyły tych nieszczęśników, którzy nie byli zbyt szybcy. Ci którzy byli bardziej zwinni...no nie trzeba było być mistrzem. Uderzenie kopią, kogoś tak niskiego, były trudno i udało się głównie dlatego, że kuce były zbite. A że walka mieczem była niemożliwa, zakonnicy nieudolnie próbowali trafić ich bronią drzewcową. Również Aleksander miał problem. Nie chciał ryzykować i strzelać z samopalu. Krzyknął wtedy:

-ROZLUŻNIĆ SZYKI!!!

Kapitanowie powtórzyli rozkaz. Ostatni szereg zaczął się cofać, dzięki czemu pomiędzy żołnierzami było więcej wolnego miejsca. Pierwszy szereg, również zwiększył przerwy, ale powoli. Jak się okazało, jednak za szybko. Kuce zaczęły biec pomiędzy przerwami. Ale był to błąd. Rycerze zeskakiwali z koni, dzierżąc miecze i tarcze. Koncentrować się na każdej pojedynczej, jest zbędne i wystarczy podać przykład tylko jednej. Kuc ziemski, o ciemnozielonej barwie, biegł dosyć szybko. Niepewnie dzierżył włócznię o złotym grocie. Rżenie koni i krzyki ludzi, powodowały u niego skok ciśnienia. Przeciwnicy, wyglądali niczym demony. Wysocy, groźni, chcący wyróżnić jego towarzyszy. Gdy próbował uciec, jeden z przeciwników, zeskoczył z konia. Na szczęście w porę wykonał unik i wycofał się po między kopytami konia. Jeszcze kilku rycerzy próbowało go zatrzymać, ale bez skutku. Dodało to mu odwagi. I pewności. Biegnąc, odwrócił dumną głowę i uśmiechnął się z pogardą. Otrząsnął się, gdy uderzył w coś twardego. Upadł, ale szybko się podniósł i opamiętał. Jego oczom ukazał się zakuty w żelazo templariusz. Hełm, z opuszczoną przyłbicą. Przez szpary, dojrzeć można złość i pogardę, patrzące na przeciwnika. Na korpusie miał biały materiał, przykrywający zbroję. Na nim, wymalowany czerwony krzyż. Reszta ciała w pełnej, żelaznej osłonie. W prawej dłoni, dzierżył miecz jednoręczny, a w lewej tarczę, o którą uderzył kuc. Ten, wziął głęboki wdech i bardziej pewnie złapał za swoją broń. Na gle, rycerz zaczął krzyczeć, i zamachnął się swoim mieczem. Ale tak, by to rękojeść uderzyła. Nie klinga. Jego ręka, została zablokowana przez drewnianą część włóczni. Ponownie uniósł rękę i zaczął wyprowadzać szybsze ciosy, ale żaden nie trafił. Przeciwnik odskakiwał lub od biegał. W końcu, człowiek nie mógł dłużej wytrzymać. Zapomniał o rozkazie i groźba śmierci dla niskiego, była pewna. Klinga migła przed jego oczyma co kilka sekund. Zaczął jednak odczuwać zmęczenie, wynikające z odskoków. Gdy ostrze, kolejny raz zaczęło się do niego zbliżać, drugi raz zatrzymał ją włócznią. On i zakonnik zaczęli się mocować. Patrzyli sobie w oczy. O obu spojrzeniach, dominowała wrogość i złość. Obaj próbowali się przepchnąć. To raz on zyskiwał przewagę, to człowiek. I wtedy, ku zaskoczeniu obojga, kuc zaczął zyskiwać przewagę. Miecz powoli zbliżał się do hełmu. Gdy

był już kilka centymetrów od szpary, szczęśliwy tubylec poczuł mocny uścisk na szyi. Zaczął gorączkowo łapać oddech. Zdolność do wymiany gazowej, sprawiał coraz to większe trudności. Próbował uciec, ale wtedy ucisk stawał się coraz silniejszy. Ze zrezygnowaniem, przestał walczyć. Spojrzał na przeciwnika, do którego zbliżał się koń, którego jeździec w rękach silnie dzierżył linę, zakończoną pętlą, zaciśniętą na szyi nieszczęśnika. Inni, albo padali ogłuszeni od ciosu, albo również udawało się złapać ich na lasso. Ale mowa tu o kucach ziemskich. Pegazom, udało się wznieść w powietrze. Można by powiedzieć, że nic im nie zagraża. Tak naprawdę, czekał ich gorszy los nich ich towarzyszy na ziemi. Gdy jeden z nich, z wielkim pędem leciał ponad głowami ludzi, Rycerz Gryfa zaczął go ścigać. Ten, zdążył tylko zauważyć monstrum, gdy to chwyciło go szponami. Wierzgał i to bardzo. Gryf, zaznajomiony z takim zachowaniem, ścisnął mocniej, ale to też nie pomogło. Puścił prawą kończyną. Pegaz, widząc okazję, wiercił się bardziej i bardziej. I wtedy, poczuł kilka ukłuć w obu bokach. Ból zwiększał się, ale powoli. Pazury zagłębiały się w jego ciało. Szarpanie, powodowały że rany się zwiększały, co nie należało do uczuć przyjemnych. Z tego powodu, małymi kroplami, krew zaczęła wypływać z jego wnętrza. Można powiedzieć, że najwięcej cierpieli ci najbardziej nieugięci, odważni i waleczni. W tym czasie Aleksander zauważył, że jeden z przeciwników zdołał się przedrzeć i uciekać w stronę północy. Natychmiast rozpoczął pościg. Zakonnicy ustępowali przywódcy, a ci którym wcześniej nie udało się pochwycić zbiega, przyłączyli się. Po opuszczeniu zbieraniny, z Aleksandrem pędziło jeszcze czterech ludzi. Przeciwnik nie mógł się ukryć, z powodu faktu, że teren to była czysta łąka. Bez lasów czy skał. Jednak zaczął się coraz bardziej oddalać, zważając na fakt, że konie musiały nosić zakutych w zbroje rycerzy, a niektóre same miały zbroję, przez co męczyły się jeszcze bardziej. Zwalniały, a to oznaczało że wróg zbiegnie i poinformuje resztę. A to mogło przynieść wiele problemów w przyszłości. I gdy zdawało się, że nie uda się pochwycić uciekającego, coś spadło na niego, niczym grom i powaliło na ziemię. Aleksander uśmiechnął się, gdy zauważył że to jego stary towarzysz. Kuc, powalony na plecy, przeraził się, gdy zobaczył monstrum, które na nim stało. Ze złotym upierzeniem, z niezwykłą siłą w łapach i szponach, oraz ostrym dziobem.

- No przyjacielu. Pierwsza twoja ofiara w tym świecie. - zwrócił się syn Cesarza podjeżdżając do swego gryfa. Ten, jakby rozumiał jego słowa, zdawał się uśmiechać do niego, potem pochylił głowę i sposepniał patrząc na trzymanego. Aleksander zsiadł z konia i klęknął na jedno kolano przy ściganym. Ten, nad sobą miał spoglądające dwie twarze. Jedna, wydawała się gotowa do zeżarcia mu wnętrza, a druga, pogodna i spokojna.

- Młody. Nieciekawa sytuacja, co?- spytał żartobliwie człowiek.

- Proszę. Powiem wszystko tylko...- gorączkowo powiedział kuc.

- Póki nie będziesz się wiercił, mój latający druh nic ci nie robi. Więc uspokój się.

I rzeczywiście, trzymanie go przez gryfa nie było już potrzebne. Mimo to, łapy nadal naciskały na niezbyt silne ciało. W tym czasie, podszedł rycerz trzymający zwiniętą linę.

- Wybacz, ale musimy zachować ostrożność. - rzucił niechętnie Aleksander.

Widząc strach, na twarzy kuca, pomyślał przez chwilę i zapytał:

- Masz może dzieci?

- Proszę, nie... - błagał, ze łzami w oczach.

- Chcę tylko wiedzieć. Nie martw się, nic im nie zrobimy.
- Córkę. Kilkuletnią. Ma tylko mnie. Proszę, tylko... - odpowiedział zdenerwowany.
- Obiecuję ci, że wrócisz do niej. - przerwał mu - Ani jej, ani tobie nic nie zrobimy.

Zaufaj mi. Tylko przestań aż tak stawiać opór i bądź posłuszny. Zgoda?

Rycerz podszedł powoli i obwiązał linę wokół szyi ziemskiego. Ten, zaczął powoli regulować oddech. Aleksander kiwnął głową do pierzastego przyjaciela. Potężne szpony, przestały naciskać niezbyt silne ciało. W tym samym czasie, podjechał jeden z Rycerzy Gorejącego Słońca.

- Panie! Wszyscy przeciwnicy zostali pochwyceni - dumnie zameldował.
- Jacyś martwi lub ranni? - spytał Aleksander.
- Nie. Ani po naszej stronie, ani po przeciwnej.
- Pierwsza bitwa, bez żadnych ofiar. Nieźle, nieźle.
- Widzę panie, że tobie też udało się kogoś złapać. Mam go odprowadzić do reszty? - spytał.

- Na razie nie. Póki co, wolę go mieć na oku.
- Jak wolisz - rzucił i odjechał. Na jego miejsca, na złamanie karku, pędził jeden z Rycerzy Pantery.

- Panie! Musisz szybko...
- Uspokój się - przerwał mu - Co się stało?
- Jeden z pojmanych, zdołał się uwolnić. Próbuje go związać, ale...
- Kapitan! - krzyknął z niepokojem kucyk. Wzrok ludzi spoczął na nim.
- Widzę że jednak będę musiał interweniować. - pokiwał głową Aleksander i wsiadł na konia. Kiwnął do gryfa, a ten odleciał w niebo.

- Nadążysz? - zwrócił się do ziemskiego.

Ten, w odpowiedzi kiwnął.

- Prowadźcie go - zwrócił się do rycerza, trzymającego linę. - Za mną.

Szybkim kłusem, jechali do zgromadzenia. Gdy Aleksander zaczął dojeżdżać do okręgu, zrobionego przez jego ludzi, paru z nich odsunęło się. Ujrzał tedy jednorożca. Większego niż reszta, o czysto białej karnacji i niebieskiej grzywie. W niedużej odległości, stało czterech zbrojnych. Żaden z nich, nie miał w ręku broni. Uważnie patrzyli na niego. W jednej chwili, rzucili się, by go pochwyć. Bezskutecznie. Jeden biegnący z tyłu jednorożca, został powalony poprzez cios tylnymi kopytami. Za pomocą magii, dwaj inni wpadli na siebie. Ostatni, biegnący z boku prawie złapał swój cel, ale jego uciekinier wykonał szybki unik w tył. Zbrojny prawie upadł, a raczej zrobił to, gdy poczuł silny cios w okolicy pleców. Gdy atak bezpośredni atak nic nie dał, dwóch konnych zarzuciło lassa na jego szyję. Udało się. Ale jednorożec złapał zębami za linę i pociągnął mocno. Jeździec, mimo silnego uścisku, w końcu spadł z wierzchowca. Tak samo jego towarzyszy. Kolejni rzucili się do pochwylenia, czy rzucenia liny, ale bezskutecznie.

Aleksander pokiwał głową i zwrócił się do swojego więźnia:

- To twój kapitan?
- Zgadza się. Nie uda wam się go pochwyć.

- Tak? - spytał z niedowierzaniem. - Zobaczymy. - po czym zszedł z konia i podeszedł do niego.

- Pamiętasz jak ci mówiłem, żebyś mi zaufał? - zapytał człowiek.

- To nie było dawno, więc...

- Czyli tak. Cokolwiek się stanie, nie uciekaj.

Tedy wyciągnął samopał i zakrzyknął:

- Pogratulować ci świetnych umiejętności. - oczy wszystkich, skoncentrowały się na synu Cesarza.

- Ale mam dla ciebie propozycję. Podobno świetny z ciebie kapitan. - pewnie stwierdził. Do głowy ziemskiego, przystawił lufę swojego pistoletu. Żołnierz, trzymający linę, obwiązał ją wokół ręki. Na twarzy jednoroźca, zaczął malować się strach. Również kuc zaczął się niepokoić. Korzystając z okazji, pięciu zbrojnych rzuciło się i powaliło uciekiniera. Czterech trzymało za kopyta, a ostatni przycisnął głowę do ziemi. Wśród ludzi, rozniósł się okrzyk radości. Aleksander odetchnął. Usłyszał od swego celu:

- Dlaczego to zrobiłeś? A gdyby to potoczyło się inaczej?

Człowiek pociągnął za spust, ale lufa była pusta.

- Mówiłem ci. Nic ci nie będzie. - po tych słowach, powoli podchodził do ludzi, którzy ledwo utrzymywali więźnia na ziemi. Kucnął i zaczął:

- Troska o podkomendnych, świadczy o tym, jesteś dobrym dowódcą.

- Obiecuję, że osobiście cię zatłukę. Choćbym miał zginąć. - zagroził niebiesko grzywę.

- Skąd ta wrogość? Zadam ci tylko parę pytań i tyle. Po pierwszą, jak brzmi twoje imię?

- Goń się. - krzyknął, na co jeden z żołnierzy uderzył go w grzbiet.

- Panowie, nie tak ostro. Ale ty powinienes być grzeczniejszy. Więc?

- Shining, Armor.

- Niezwykłe, nie powiem. Drugie, to były największe siły, jakie możecie na nas rzucić?

- Jeszcze się zdziwisz.

- Uznam to za, nie. Ostatnie, nie masz chyba rodziny, co?

- Miałem siostrę.

- Moje kondolencje. No, poznaliśmy się, więc, niestety, czas przejść do rzeczy mniej miłych. - powiedziawszy to, z małej torby przy pasie wyciągnął srebrny pierścień. Żołnierz trzymający głowę jednoroźca, złapał ją mocniej. Aleksander włożył pierścień na jego róg.

- Wiem co nieco, o tym, jak pozbawić was zdolności magicznych. - następnie krzyknął - PRZYNIEŚĆ ŁAŃCUCHY!!!

- Mówiłeś że zadasz tylko pytania i...

- Ale nie mówiłem nic o tym, że cię puszczę wolno.

- Ty kłamliwy...

Shining próbował wyrwać się z uścisku, ale bezskutecznie. Mógł liczyć tylko na swoją siłę, która była powstrzymywana przez żołnierzy.

Po kilku chwilach, czterech ludzi, niosło łańcuchy, zakończone kajdanem. Ostrożnie, z małym trudem, udało się zakuć wszystkie cztery kopyta. Klucz, został przekazany przywódcy, a wojskowi chwycili za łańcuch i wyprostowali je.

- I teraz zapamiętaj. Jeżeli dowiem się, że sprawiasz znaczne kłopoty, sprawię że ten klucz zniknie. Rozumiemy się? Żelaza nie przegryziesz, a na swoje sztuczki nie masz co liczyć.

Niedługo potem, czterech Rycerzy Gryfa zleciało na ziemię,

- Oni zajmą się tym, abyś bezpiecznie podróżował. - na te słowa, jeźdźcy odebrali łańcuchy od swoich kolegów i pociągnęli, przez co jednorożec upadł.

- Dobra panowie! - krzyknął Aleksander - Robimy postój. Zebrać więźniów w jednym miejscu. A tego ustawcie taka, by nie miał za dużego pola do manewru. Pozbierajcie od nich broń i pancerze.

Po paru godzinach przestawiania wozów, zbierania złomu i rozpalania ognisk, rycerze mogli w końcu usiąść. Czas spędzali na rozmowach, jedzeniu, czy opróżnianiu beczek i butelek. Przegrani, a było ich około sześćdziesięciu, zgromadzeni w jednym miejscu, pilnowani przez piętnastu gwardzistów Reiklandu. Wokół terenu więziennego, przechodziły cztery patrole, po dwóch ludzi. W głębi zbieraniny, Shining trzymany przez żelazne łańcuchy, których końce były obwiązane wokół czterech głazów. Można by powiedzieć, że ktoś mógłby łatwo uwolnić kapitana, gdyby nie to, że przy głazach spały gryfy. Sam Shining Armor, siedział ze spuszczoną głową i zamkniętymi oczyma. Z tego stanu, obudziło go ciche wołanie.

- Kapitanie! - zawołał jakiś głos.

Shining rozejrzał się. Naprzeciwko niego, stał czerwony kuc ziemski, z czarno-zieloną grzywą.

- Czego chcesz? - rzucił ze złością w głosie.

- Ludzie przynieśli nam rację żywności. I pomyślałem że...

- Dzięki za chęci - przerwał mu - Ale nie wezmę do ust niczego, co oni przynieśli.

- Ale nie są tacy źli.

- To już zapomniałeś, że jeden z nich, chciał cię zastrzelić?

- Nic mi nie groziło. Lufa była pusta.

- Hmm. - kapitan rozejrzał się - Mógłbyś coś dla mnie zrobić?

- Co takiego? - spytał z zaciekawieniem.

- Zdejmij mi ten pierścień antymagiczny.

- Nie, nie mogę. - zaprzeczył - Ten przywódca, obiecał mi że jeżeli będę posłuszny, to będę mógł wrócić do córki.

- A ty, geniuszu, mu uwierzyłeś?

- Mam inny wybór? Przecież wiesz, jak to jest stracić kogoś bliskiego. A ona ma tylko mnie. W przeciwieństwie do ciebie. - powiedział z wyrzutem, ale szybko pojał znaczenie ostatnich słów.

- Kapitanie wybacz, ja nie...
- Przestań.
- Powiedziałeś im, że Twilight jest z tobą spokrewniona?
- Nie. Mogliby wykorzystać ten fakt.
- Celestia mówiła, że twoja siostra przeszła na ich stronę więc...
- Gdyby nie te łańcuchy. - zagroził - Nie wierzę że mogłaby zdradzić. Nie, to oni ją zmusili. Jestem tego pewien. I to przez nich ma te kłopoty. - prawie wykrzyczał.
- Ale, może, da się z nimi dogadać?
- Nie zaryzykuje. Jeżeli będziemy....

Wywód kapitana, został przerwany przez jednego z wartowników:

- Jeszcze głośniej będziesz gadać, to obudzisz gryfy. - już miał odejść, gdy kuc zatrzymał go:
- Strażniku, poczekaj.
- Co?
- Mogę o coś spytać?
- Jeśli musisz.
- Słyszałeś może, o kimś takim jak Twilight?

Żołnierz podniósł lekko brew.

- Czy ja słyszałem? Nie więcej jak dwa, trzy dni temu, jeszcze była w obozie, na południu.
- A teraz?
- Z tego co mi wiadomo, jest razem z armią Cesarza, wraz z...
- To waszych armii jest więcej? - przerwał mu Shining.
- Z tą, pięć. Ta dowodzona jest przez syna naszego Cesarza, dalej na wschód, armia Księcia Ostermarku, w centrum armia główna, a dalej armię Cara Kislevu i jego syna. I powiem, że mieliście szczęście.
- Jak to?
- Gdybyście zaatakowali Księcia Ostermarku, skończyli byście gorzej. Nasz przywódca jest łaskawy i nie ma sensu się mu sprzeciwiać.

Czerwony kuc wtrącił:

- Mówiłeś wcześniej, że Twilight jest z tym...Cesarzem i jeszcze kimś.
- A tak. Noc przed wymarszem, do naszego obozu przybył pegaz. Flash Sentry, czy jakoś tak. I gdyby nie interwencja naszych przywódców i oczywiście jej samej, to mógłby źle skończyć. Z tego co widziałem, to nieźle się dogadują.
- Łżesz! - przerwał mu Shining - Przyznaj, że zmusiliście go. Przyznaj, że więzicie zarówno jego, jak i Twilight. - gdy oskarżał gwardzistę, rzucał się i zaczął roznosić się dźwięk łańcuchów. Więźniowie najbliżej, natychmiastowo zerknęli w stronę hałasu. Straże mocniej chwycili za broń. Szarpał się, do czasu gdy gryfy się obudziły i przycisnęły żelazne liny do ziemi, powodując upadek.
- Dziękuję za do informowanie - rzucił kuc.
- Nie ma za co. Choć na twoim miejscu, uważałbym na...kapitana. Nie zazdroszczę Rycerzom Gryfa którzy będą go pilnować podczas podróży.

Gwardzista odszedł, a więźniowie powrócili do poprzednich zajęć.

- Widzisz. Nie mówił nic o tym, że coś jej grozi.

- Oczywiście. - rzucił Armor, powoli podnosząc się z ziemi - Będą udawać, że są przyjaciółmi i nic nam nie zrobią. Uśpią naszą czujność, a gdy się obudzimy, wszystko co nam drogie, zniknie.

- Przynajmniej wiemy, że jest bezpieczna z Flashem.

- Tak. Z tym mogę się zgodzić. Jemu, mogę zaufać. Choć trochę spokoju.

Po obozie, rozniósł się krzyk, by gasić ogniska. Nadeszła chwila snu. Czerwony ogier, dygnął do swojego przywódcy i wrócił do reszty. Sam kapitan, rozejrzał się. Wyglądało na to, że próba ucieczki może źle się skończyć. Dla niego, albo podkomendnych.